

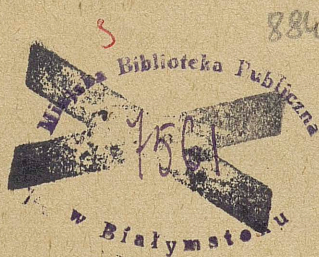
WINCENTY RAPACKI
(SYN)

ANEGDOTY TEATRALNE

WARSZAWA — 1930
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI F. HOESICKA



Zakłady Drukarskie
F. Wyszyński i S-ka
Warszawa, Warecka 15



SŁAWA AKTORSKA.

(Żółkowski — Leszczyński).

Mówić będę o teatrze.

Człowiek zawsze lubi rozmawiać o przedmiocie swojej miłości. Jeżeli uzyskał wzajemność, mówi z entuzjazmem. Jeżeli potknął się o zdradę, mówi z goryczą, ale zawsze mówi. Czasem się unosi, czasem się skarży, ale słowa płyną. To mu potrzebne dla spokoju duszy.

Młodzieniec, zakochany w dziewczynie, widzi w niej cały skarb wdzięków i powabów. I chciałby ten skarb ukryć przed okiem natręta. Chciałby go mieć tylko dla siebie, zazdrosny o wszystkich i o wszystko.

Aktor zakochany w Melpomenie, przeciwnie. Chce rozbudzić tę miłość dla niej

u całego świata. Chce, aby wszyscy ją uwielbiali, podziwiali.

Staje do apelu, aby rozbudzić miłość dla Melpomeny.

Mówić będę o jej dawnych kochankach, a miała ich bez liku.

Chcę prosić dla nich o pamięć, bo pamięć, to cząstka nieśmiertelności.

„Z wszystkich nędz, najstraszniejsze ludzkie zapomnienie“.

Ten aforyzm naszego wieszczą nie będzie nas kłuł w oczy.

Ci, którzy stali u steru, w ciężkich czasach rozwoju naszego teatru, zasługują na to, aby o nich jak najczęściej pisano.

Za życia mało oni dbali o reklamę.

Dziś inaczej. Dziś aktorzy lubią reklamę. Reklama więcej ich cieszy, niż szczere uznanie.

Kiedy jednemu z wielce utalentowanych artystów napomknąłem niebacznie o dawnych potęgach i tradycji, odrzekł mi z dumą:

— Tradycja od nas się zaczyna.

Byłoby to piękne, gdyby było prawdą. Ale niestety, ten wielce utalentowany kolega w złotych czasach teatru Rozmaitości zajmowałby trzeciorzędne stanowisko. Słusznie też powiedział mój ojciec, zwracając się do obecnych czcicieli Melpomeny:

— Wy jesteście wielkimi artystami, a my byliśmy kapłanami.

— Tak. Rapacki, Królikowski, Leszczyński, Tatarkiewicz, Wolski, z Żółkowskim na czele byli kapłanami.

Dziś już kapłanów nie ma.

Dziś są wielcy artyści.

Są i tacy, którzy się mają za wielkich, a wielkimi nie są, ale to było i za dawnych czasów. A zresztą i teatr zmienił swoje oblicze. Nie jest to już świątynia, do której się wchodzi z odkrytą głową, o nie. Są tam i panowie w kapeluszach i damy z papierosami w ustach.

Dawniej teatr składał się tylko z arystokratów ducha. Dziś siłą faktu musiał się przechylić na stronę demokracji.

W imię wolności wszyscy tam wchodzi.

Powołani i niepowołani. Toteż Melpomena nieraz z przerażeniem patrzy na tych intruzów, co rozbijają się w murach jej świątyni, zamiast w cichości pracować na innym polu dla ojczyzny, zdala od przybytku sztuki.

Młodszy koledzy zwracają się do mnie często z zapytaniem:

— Czy ten Żółkowski był naprawdę tak wielki? Bo może wam się tylko zdawało...

Gdyby tak Chopin, żegnając świat, zabrał ze sobą i te arcydzieła, które stworzył, czy umiałbym przekonać wszystkich melomanów lub choćby jednego, o geniuszu wielkiego poety muzyka?

Zdaje się, że nie. I napewno słyszałbym nieraz, że mi się wtedy tak zdawało.

Chopin twórca zostawił swoje dzieła, ale odtwórca, odchodząc, zabiera ze sobą wszystko.

A jednak nie zdawało mi się, ale tak było w istocie.

Po koncercie Paganiniego Liszt pisał w ocenie krytycznej:

— Byłem, słyszałem, widziałem, ale pewno mi się śniło.

Meyerber zakończył recenzję zdaniem:

— Gdzie myśl ludzka się kończy, tam się zaczyna Paganini.

Żółkowski był Paganinim w sztuce aktorskiej. Był tytanem dykcji, mimiki, wyrazu i uczucia w najszlachetniejszym stylu.

Panował nad publicznością niepodzielnie.

Kazał się śmiać — teatr trząsł się od śmiechu.

Kazał płakać — łzy cisnęły się wszystkim do oczu.

Był arcykapłanem w świątyni Melpomeny.

Miał ten arcykapłan w życiu wiele dowcipu i nie tracił animuszu, rozmawiając nawet z panującymi.

Kiedy car Aleksander drugi przyjechał do Polski, na jego życzenie odegrano w Skierniewicach aktówkę „Dwaj roztargnieni“. Tytułowe role odtworzyli Żółkowski i mój ojciec.

Car śmiał się do rozpuku. Po przedstawieniu winał wykonawcom. Rozmowa toczyła się po francusku:

— Jaka szkoda, panie Alojzy, — rzekł, zwracając się do Żółkowskiego, — że pan nie był jeszcze w Petersburgu. Czy pan wogóle nigdy nie mówi po rosyjsku?

— Nie, najjaśniejszy panie, chyba, że jestem bardzo zły?... — Odpowiedział Żółkowski. — Car śmiał się na cały głos.

A oto jeszcze jeden obrazek z przeszłości:

Wanda Antonina Leszczyńska jest bohaterką teatrów w Warszawie.

Czaruje swoją grą i podbija serca słuchaczy.

Panna Wanda jest młodziutką panią. Mieszka na Pradze.

Codzień po przedstawieniu musi odbyć prawdziwą podróż, aby dostać się do domu.

— Jaką podróż? — zawołacie. — Wsiada w piątkę i w dziesięć minut jest na miejscu.

Niestety. Jak to już powiedziałem, jest to obrazek z przeszłości.

Niema jeszcze tramwajów.

Niema dorożek, a co gorsza, niema jeszcze... Mostu Kierbedzia.

Panna Wanda Leszczyńska co noc przeprowia się łódką przez Wisłę.

Jest to bardzo poetyczne, ale niewygodne. Przy brzegu czeka na nią młodzieniec, smukły i przystojny.

Wsiadają do łódki.

On patrzy w nią jak w obraz.

Nie mówią nic.

Łódź cicho odbija do przeciwnego brzegu. Młodzieniec pierwszy wyskakuje z łódki, podaje jej rękę, odprowadza do domu i wraca.

Płynie zamyślony przez szarą Wisłę.

Cóż ma oznaczać ten pseudo-romantyczny obrazek?

Wszystko to jest zupełnie naturalne.

A jednak...

Skoro nie było jeszcze mostu Kierbedzia, musiały panować wogóle średniowieczne zwyczaje.

Artystki, o zgrozo, chodziły w długich

sukienkach i nie znały fryzur à la garçonne.

Zacofanie było tak wielkie, pojęcie tak wsteczne, że kiedy ówczesny dyrektor teatru, Jasiński, dowiedział się o nocnych eskapadach swojej ulubionej artystki, włosy mu dębem stanęły na głowie z oburzenia.

— Sam się muszę o tem przekonać — krzyknął.

Po przedstawieniu czekał na brzegu Wisły, skąd odpływały łódki na Pragę.

Oczom swoim nie wierzył.

Istotnie. Smukły, bardzo przystojny młodzieniec, właśnie podał jej rękę, pomagając wsiadać do łódki.

— Stać — krzyknął Jasiński. — Panno Wando, dla osób, które się tak prowadzą, w moim teatrze miejsca niema. Żegnam.

Zawrócił do odejścia.

— Stać — krzyknął silnym i donośnym głosem smukły i przystojny młodzieniec. — Jak pan śmie obrażać biedną, uczciwą

dziewczynę? Antonina jest moją rodzoną siostrą.

Jasiński zdumiony, pilnie obserwował młodzieńca i zamiast się uprzedliwić, zawołał:

— Panie, pan będzie świetnym aktorem. Pan ma niezwykłą prezencję i fenomenalny organ głosu. Angażuję pana.

Przepowiednia dyrektora Jasińskiego sprawdziła się.

Młodzieńcem tym był Bolesław Leszczyński, znakomity tragik polski, niezrównany Otello, Syn Puszczy, Wojewoda, Król Lir...

Wystąpił pierwszy raz w sztuce Scribego pod tytułem „Kwakier i tancerka“ razem ze swoją siostrą, Antoniną.

MÓJ PIERWSZY WYSTĘP GOŚCINNY.

O i ja niegdyś byłem... Parysem.

A czy wy wiecie, co to Parys znaczy?

Jestem pewny, że nie wiecie. A jeżeli wiecie, to tylko z Homera, a ja przeciwnie. Mając lat siedem, poznałem bohaterów wojny trojańskiej z „Pięknej Heleny“ Offenbacha. A potem dopiero uczyłem się w gimnazjum, że Paris Helenam rapuit. „Piękna Helena“, to była operetka, która zawsze robiła kasę.

Wspaniała muzyka, b. piękne libretto, genialne tłumaczenie Chęcińskiego, tworzyły całość niepowszednią. „Piękna Helena“ była tak zwanym pewniakiem i nie raz w krytycznych dniach, w razie niespodziewanej klapy, uratowała sytuację.

I mnie w Arkadji dzień szczęścia za-

błysnął. I ja jeździłem na występy gościnne.

I ja śpiewałem Parysa.

Napoleon pod Austerlitz nie czuł się tak dumnym, jak ja, kiedy pierwszy raz jechałem na występy.

Fotografje wystawione we wszystkich sklepach w różnych rolach, nawet w takich, w których nigdy nie grałem, afisze olbrzymy.

Nie myślcie, że mój pierwszy gościnny występ miał miejsce w Rypinie lub Koziej Wólce. Nie! Tak źle nie było.

Mój pierwszy występ gościnny odbył się w guberjalnym mieście Piotrkowie, w teatrze Szpana.

I muszę przyznać, że już potem w żadnym przybytku sztuki nie widziałem takiego ogromnego żelaznego pieca.

Potwór ten stał przy samem wejściu, rozpalony do czerwoności.

Każdy z widzów, wchodząc do krzeseł, musiał sobie powiedzieć:

„Jak Dant za życia, przeszedłem przez piekło“.

Ci, którzy siedzieli blisko tego potwora, smażyli się żywcem, zato w dalszych rzędach panowała temperatura Grenlandji.

Ale publiczność w owe czasy nie zważała na takie bagatelki i dla pewności, nie chodziła wcale do teatru.

Przyjechałem do Piotrkowa o szarej godzinie i kazałem się zawieść do pierwszorzędnego hotelu.

— U nas są same piersioziędne hotele.

Zajechaliśmy przed duży murowany dom. Oddałem portjerowi rzeczy i ruszyliśmy do teatru.

Przed gmachem teatru stała duża grupka aktorów. Uśmiechnęli się dziwnie na mój widok, a najstarszy z nich, histrjon starej daty, artysta z bożej łaski, Jan Szymborski, rzekł do mnie ostro:

— Po djabła pan tu przyjechał. Dziś grać nie będziemy.

— Dlaczego?

— Dlatego, że komornik zapieczętował kurtynę.

— Kiedy ja wiem, że bilety sprzedaje się w cukierni.

— To też najlepiej idź pan na herbatę.

— A gdzie dyrektor?

— Gdzieżby? w cukierni.

Pobiegłem, trochę zdetonowany.

W oknie wystawowem cukierni wisiał olbrzymi afisz z mojem nazwiskiem.

Wszedłem do środka.

Dyrektor stał przy kasie.

Znany to był dyrektor w szerokich kołach prowincjonalnych aktorów, Bolesław Marecki. Pomimo ciągłego borykania się z losem, nigdy nie tracił humoru i fantazji. Zawsze wesoły i niczem niezrażony.

— Dyrektorze, co ja słyszę. Podobno nie gramy?

— Co pan opowiada, prawie wszystko sprzedane, bardzo naturalnie.

— No tak, ale z tą kurtyną?

Marecki, zamiast odpowiedzieć, zwrócił się do siedzącej przy stolikach publiczności:



— Proszę państwa, jest, przyjechał. To właśnie dzisiejszy Parys, artysta teatrów rządowych warszawskich. Bardzo miły chłopak. To też damy lecą na niego, bardzo naturalnie.

Nie czekając końca tej przemowy, wybiegłem zażenowany na ulicę. Marecki za mną.

— Czyś pan zwarjował? — krzyknąłem ze złością.

— Pan nie rozumie. To Piotrków, nie Warszawa. Tu trzeba reklamować po amerykańsku.

— Ale co będzie z tą kurtyną?

— A, już panu powiedzieli. Śmiej się pan z tego. Będziemy grali. Ho, ho, nie ze mną kawały, bardzo naturalnie.

— No, dobrze, ale przecież pana wsadzą do ciupy, jak pan zerwie pieczęcie i podniesie kurtynę.

— O co chodzi? Ma pan tu dwadzieścia pięć rubli. Płacę z góry za występ.

Dał mi pieniądze.

Ażeby zrozumieć całą doniosłość tego faktu, dużyoby trzeba napisać o dawnych stosunkach teatralnych na prowincji. Albowiem wydobyć należne pieniądze od dyrektora było wielką sztuką. Ale otrzymać na-przód, poprostu rzeczą nie do pomyslenia.

Byłem pewny, że grać będziemy.

— Niech pan jedzie po rzeczy do hotelu, a ja wracam do cukierni, bardzo naturalnie.

Chociażby człowiek nie wiem jak się starał i zrobił sobie sto supelków, zawsze się tam czegoś podczas występów gościnnych zapomni. Ja na przykład zapomniałem się spytać, do jakiego hotelu zajechałem. Co prawda, wszyscy wielcy ludzie, począwszy od Newtona, byli rotargnieni, ale to słaba pociecha.

Niema co, trzeba szukać. Całe szczęście, że Piotrków jest mniejszy od Paryża.

Kiwnąłem na dorożkarza, kazałem jechać do hotelu.

— Do jakiego — spytał dorożkarz.

— Wszystko jedno.

Woził mnie od hotelu do hotelu, a ja wszystkich portjerów uprzejmie zapytywałem:

— Przepraszam pana, czy tu mieszka pan Rapacki?

— Uj, kto to jest ten pan, co mi go tak szukamy — pytał się dorożkarz. — Może jego wcale niema w Piotrkowie.

— Jest, jest, napewno, jedźmy dalej.

— Jest, no to my go musimy znaleźć.

Wysiadłem z dorożki przed jakimś starym gmachem.

Na moje zapytanie, czy tu mieszka pan Rapacki, portjer odpowiedział:

— Szanownego pana to się zawsze kawały trzymają.

Nareszcie.

— Więc tu mieszka ten pan — wtrącił się dorożkarz.

— Tu.

— Aj, to dobrze, że mi go znaleźli.

Po chwili wpakowaliśmy walizki na dorożkę.

— Nu, a gdzie jest ten pan Rapacki?

— Już nie potrzebny.

— Niepotrzebny — dziwił się dorożkarz. — Oj, oj, jak go nie można było znaleźć, to on był taki potrzebny, a teraz już niepotrzebny. To pan pewnie z Warszawy.

Dorożkarz, dziwiąc się w dalszym ciągu, zawiózł mnie do teatru.

Za dziesięć minut miało się rozpocząć przedstawienie. Aktorzy ubierali się bardzo niechętnie. Widownia przepełniona.

Publiczność miała dwie atrakcje: występowicza i opieczętowaną kurtynę.

Komornik, który spełnił tę poważną funkcję, siedział w pierwszym rzędzie, gotowy do akcji w razie ataku.

Przebrzmiały ostatnie dźwięki uwertury.

Wszyscy utkwili wzrok w pieczęciach.

O dziwo!

Kurtyna, wbrew tradycji, zamiast podnieść się do góry, opuściła się majestatycznie na dół, nie tykając rządowych pieczęci.

Publiczność, rozbawiona, dała wyraz swej wesołości potężnym, długo nie milknącym brawem.

Bądź co bądź, komornik był rządowym urzędnikiem, a w owych czasach wzięcie na kawał rządowca było wielką frajdą.

— Ale ma pan powodzenie — rzekł do mnie pan Jan, uśmiechając się ironicznie. — Jeszcze pan nie wszedł, a już biją brawo.

— W każdym razie jest pełno i gramy — odciąłem.

Komisarz wybiegł z krzeseł. Czekał już na niego dyrektor Marecki i obaj w doskonałych humorach poszli na wódkę.

Cała ta transakcja widocznie już przedtem była ułożona za małą łapówkę.

Mój pierwszy gościnny występ zakończył się tryumfem.

Wszyscy aktorzy dostali „a conto“.

PIERWSZA POLSKA WYTWÓRNIA FILMOWA.

Wszelkie nowe prądy, czy to w sztuce, czy w innej dziedzinie, spotykają się zawsze z niedowierzaniem i nieufnością społeczeństwa.

Nowator pada ofiarą przesądów, dopiero jego następcą wyciąga z tego korzyści lub okrywa się sławą.

Mercadante stworzył dramat muzyczny.

Genjalny Verdi, idąc jego drogą, okrył się sławą.

Mercadante był Kolumbem, Verdi — Amerigo Vespuccim.

Watt, siedząc nad imbryczkiem, w którym gotowała się woda na herbatę, wpadł na pomysł zastosowania pary jako siły motorowej. Za takie niesamowite pomysły po-

wędrował do czubków, a jego następcą, Stefenson, okrył się sławą.

Wstęp ten był mi potrzebny do uwypuklenia dramatu, który mam zamiar opowiedzieć.

Siłę dramatu potęguje sytuacja niezwykła. Oto udział w nim bierze trzech komików. A czy może być coś więcej dramatycznego, niż komik, nad którym płaczą, a cóż dopiero, jeżeli los każe nam płakać nad trzema komikami?

Dramat, który mam zamiar opisać, jest dramatem filmowym. Pozwólcie więc, że z lekka zatracę o film, bo oto niedawno widziałem na ekranie wspaniały obraz pod tytułem „Romans panny Opolskiej”. Film ten cieszył się dużym powodzeniem, ale też i kosztował dwieście tysięcy złotych. Mój Boże... dwieście tysięcy złotych... Realizatorem był Władysław Lenczewski. Przemiły ten kolega jest jeźdźcem pierwszej klasy, zdobywcą nagród na konkursach hippicznych i niedoścignionym motocy-

klistą, a w wolnych chwilach od sportu, aktorem.

Jeżeli mówię niedoścignionym, nie mówię gołosłownie.

Śmigliwy kolega dosiadł we Lwowie żelaznego rumaka, nie mając pojęcia o konstrukcji, tylko w myśl zasady audaces fortuna juvat. Nic więc też dziwnego, że nie umiał tego rumaka zatrzymać i pomimo ścigania policji i wystraszonych mieszkańców, objechał rynek lwowski kilkaset razy, aż do wyczerpania ostatniej kropli benzyny.

Ale wróćmy do dramatu.

Jesteśmy w okresie przedwojennym u Loursa (Lours był zawsze).

Przy małym stoliku, pod filarami, siedzi dwóch, bardzo przystojnych młodzieńców.

Ten, który właśnie kładzie cukier do czarnej kawy, to najpopularniejszy komik, ulubieniec Warszawy, Antoś Fertner. Jego towarzyszy... zostawiam miejsce na superlatywy, to niżej podpisany.

— Tak dłużej być nie może — powiedział Antoś.

— Masz rację, tak być nie może — powtórzyłem jak echo.

— My musimy zrobić pieniądze.

— Musimy — powtórzyłem.

— Duże pieniądze.

— Ale w jaki sposób?

— Zaraz ci powiem. Ja będę tym Kolumbem, który odkryje tajemnicę powodzenia.

— Błagam cię, odkryj jaknajprędzej.

— Masz sto rubli? — zapytał nagle Antoś.

— Mam.

— Ja także. Ale to mało. Potrzeba więcej.

— Ja wiem, że zawsze trzeba więcej, ale niby...

— Zaraz ci wytłumaczę... Ulubiony komik nigdy jeszcze nie miał miny tak poważnej, jak w tej chwili. Utkwił we mnie wzrok i wycedził majestatycznie: — Zakładamy pierwszą wytwórnię filmową w kraju.

— Świetna myśl, majątek pewny — odpowiedziałem, oczarowany tym pomysłem.

— Tylko trzeba znaleźć jeszcze jednego komika, — dorzucił Antoś.

— Doskonale, ale jakiego?

— Takiego, któryby miał sto rubli.

— A prawda.

Takim komikiem był niezrównany książę Rumuneszti z Luksemburga. Najsympatyczniejszy z kolegów, Julek Krzewiński.

— A teraz szukajmy primadonny — rzekł Antoś.

— Poco szukać, — odpowiedziałem, — właśnie tu zmierza.

Najbardziej uroczą primadonną, czarującą Krysią Leśniczanką, była pani Józefina Bielska. A ponieważ oprócz głosu i urody, miała sto rubli, myśl o pierwszej polskiej wytwórni zaczęła się oblekać w realne szaty.

— Doskonale. A teraz jedziemy do specjalisty w kierunku filmowym.

— Ma się rozumieć, jedziemy.

— Wiesz o jakiego specjalistę mi chodzi — zawołał Antoś.

— Wiem, — odpowiedziałem z pewną miną. O takiego, któryby miał sto rubli.

— Bredzisz. O takiego, któryby znał się na filmach.

— A czy jest taki?

— Jest. Przystojny jak Apollo i znający się na rzeczy. Nazywa się Julian Zagrodzki.

Wszystko poszło znakomicie. Zagrodzki przystąpił do spółki.

Julek Krzewiński napisał scenariusz pod tytułem „Skandal przy ulicy Szopena“.

Pracowaliśmy zawzięcie, bez wytchnienia.

O piątej rano już w Alejach Ujazdowskich Julek Krzewiński wypadał na bruk z dorożki. O siódmej Antoś Fertner siedział zamknięty w szafie z Bielską. Jeszcze dziś przypomina sobie te chwile z entuzjazmem.

O dziesiątej, niżej podpisany objadał się ciastkami, co potem przeszło w manję.

O godzinie dwunastej w Dolinie Szewcarskiej, jeździliśmy na wrotkach.

O godzinie pierwszej na Nowym Świecie, policja chciała nas aresztować.

Film udał się nadzwyczajnie.

Zapalony Julek Krzewiński napisał drugi scenariusz p. t. „Kosz primadonny“. Fertner przeszedł w kreacji samego siebie.

Julek wylatywał w zamkniętym koszu z trzeciego piętra,

Bielska czarowała grą, urodą, toaletami.

Niżej podpisany, zjadał na poczekaniu dwa torty, w oczach publiczności, stojącej na ulicy. Od tej pory nie pomagały mi już żadne środki ochudzające. Schwyciłem się ostatniej deski ratunku: zacząłem pisać sztuki. Zwykle autor już podczas prób traci sześć kilo na wadze, a po recenzjach osiemnaście. Ja na próby nie chodziłem, a recenzje miałem znakomite.

Ale wróćmy do filmu.

Wszystko było gotowe.

Puściliśmy film na ekran.

Bajeczny. Znakomity. Wysyłamy go za granicę.

Byliśmy pewni, licząc bardzo skromnie, że film przyniesie nam pół miliona dochodu.

Na drugi dzień przyszedł znowu do atelier rozkoszować się naszym arcydziełem.

O dziwo! Film jakby trochę zbladł. My także. Czyżby ze strachu przed wyjazdem zagranicę?

Na trzeci dzień zbladł jeszcze więcej. Za to nasze fizjonomie były trochę zielone.

Ledwo, ledwo coś się jeszcze majaczyło na płótnie, w końcu wszystko się rozwiało, jak mgła, wraz z marzeniami o majątku.

Co było przyczyną, nikt nie umiał wytłómaczyć.

Drugiej sturubłówki nie miałem.

Konsorcjum się rozwiązało.

Takie były losy pierwszej polskiej wytwórni filmowej. Jeden pan Zagrodzki nie stracił animuszu. Dobrał sobie lepszych wspólników i pracował dalej. O ile wiem, z lepszym rezultatem.

My jednakże jesteśmy dumni. My byliśmy Kolumbami pierwszego polskiego filmu.

I dlatego tych kilka słów napisałem, ażeby się ludzkość o tym fakcie znamiennym dowiedziała.

Trzech komików założyło pierwszą polską wytwórnię.

Nic dziwnego, że los się uśmieł z tego do rozpuku.

Wczoraj, gdy jeden z Kolumbów podczas mrozu czekał na tramwaj, jakiś młodzian z wesołą miną wypadł od Langnera, wskoczył do taksówki.

Młodzianem tym był Amerigo Vespucci-Lenczewski.

BROŃMY SŁAWY NASZYCH OJCÓW.

Czarujący artysta teatru Polskiego, Jerzy Leszczyński, ujął się za moim biednym ojcem, któremu pan Noskowski odmówił prawa do... legendy.

Jestem pewny, że mój ojciec nie miałby z tego powodu zmartwienia, ale fakt pozostał faktem.

Rycerskie wystąpienie mojego siostrzeńca obudziło i we mnie rycerskiego ducha. Postanowiłem z kolei bronić ojca Jerzego i rozproszyć legendę o nieuczeniu się ról Bolesława Leszczyńskiego.

Legenda ta urodziła się z cichych gawęd dawnej Warszawy, która ubóstwiając Leszczyńskiego, chciała w ten sposób podnieść jego wielki talent do zenitu.

Nie jest to wcale paradoksem.

— Moja paniusiu, nie umie roli i tak gra.

Albo:

— Była pani na Synu puszczy?

— Ależ naturalnie.

— Co? Leszcz fenomenalny.

— Bajeczny.

— Co pani mówi? A cóżto za genjusz.

Takie rozmówki słyszeć można było często.

W końcu i ja w to uwierzyłem.

Zresztą, jak głęboko ta fałszywa legenda wryła się w dusze warszawskiej publiczności, mamy świeży dowód.

Oto w książce (bardzo nawet interesującej) p. t. „Wczoraj“, a która w tych dniach ukazała się na półkach księgarskich, autorka snuje nadal legendę o nieuczeniu się ról Leszczyńskiego.

Tymczasem było to zupełnie co innego.

Wielka miłość dla sztuki.

Wielkie poczucie obowiązku i niczem nieuzasadniona wieczna trema wobec publiczności.

Posłuchajcie:

Nieźrównany Kostrzewski w jednym z numerów „Świątecznego Kurjera“ zamieścił taki dowcip:

„Przechodzień do żebraka:“

— Mój kochany, jesteś zdrow, nic ci nie brakuje, dlaczego żebrzesz?

— Ach, litościwa osobo. Mój ojciec był dziadem, mój dziad był dziadem, toć i ja nim być muszę.

Ta dziadowska epopeja rzuciła mnie w fazę rozmyślań nad przyszłością. Spostrzegłem, że mój ojciec pracuje w teatrze. Że moja siostra, Honorata, pracuje w teatrze. Że mój wuj, Kazimierz Hoffman, pracuje w teatrze. Że moja ciotka, Majeranowska, pracuje w teatrze. Że mój szwagier, Leszczyński, pracuje w teatrze.

Do licha, toż ja mam więcej powodów zostania aktorem, niż ten dziad do dziadostwa.

Ja właśnie będę tym, który zaokrągli do pół tuzina cyfrę pracujących w teatrze członków rodziny.

Wstąpiłem do teatru.

Uposażenie moje w pierwszym roku było naprawdę dziadowskie.

Otrzymałem pięćdziesiąt kopiejek od występu, bez pensji.

Ale grałem.

Grałem z największymi artystami świata.

A nawet w jednej sztuce z Żółkowskim grałem tytułową rolę.

Tak jest. Ręczę, że pan Lorentowicz o tem nie wie, bo wspomniałby w swojej książce o teatrze.

Grałem w „Pocziwych wieśniakach“... jednego pocziwego wieśniaka.

Miałem tylko jedno zdanie do powiedzenia.

Ale grałem.

Zaraz w pierwszym roku mojej scenicznej kariery, teatr Wielki wystawił „Uriela Akostę“.

Boże, co za obsada: Kotarbiński, Leszczyński, Rapacki, Prażmowski, Rakiewiczowa, Marcello, Trapszówna, ...i ja.

Po pierwszym akcie Leszczyński zawołał mnie do garderoby.

— Uważasz, te chłystki mówią, że ja się roli nie uczę. Przesłuchaj mnie.

Podał mi rolę.

— Z przyjemnością.

Zaczął.

— Modlitwa z ust twych niechaj płynie w czczość.

Twój oddech dzumy niech będzie siedli-
skim.

Niechaj choroba twą pokręci kość.

Byś czołgał się, był dziatwy pośmiewis-
kiem i t. d.

Całe przekleństwo wyrecytował bez za-
jąknięcia.

— Znakomicie — zawołałem.—Co za pa-
mięć.

— Uważasz — mówił dalej Leszczyń-
ski — ja stoję w głębi sceny, a sufler okrop-
nie daleko. Więc ty sobie siedzisz za
drzewkiem, tuż przy mnie i będziesz mi
podpowiadał.

— Poco? — zawołałem. — Przecież pan
umie, jak pacierz.

— Kiedy ty jesteś młody i głupi i nie
wiesz, co to dramat.

— Jak pan chce.

— Więc rozumiesz, za drzewkiem. Za
przystawką. Jak się zająknę, to gadaj.

— Ale dobrze, chociaż wiem, że nie bę-
dzie potrzeby.

Zaczął się akt trzeci.

Leszczyński — Santos w otoczeniu kapła-
nów wszedł na scenę.

„Baranie rogi pozdrawiają wiernych“.

Głos Jego brzmiał jak dzwon Zygmunta.

Ja z rolą ukryty, siedziałem za drzew-
kiem.

Rozpoczął się długi monolog Kotarbiń-
skiego.

— Ja chrześcijanin. Masz mi tem szyder-
stwem

Otworzyć wyjście, twa litość obłudna.

Podczas tego monologu kapłani z Lesz-
czyńskim stali w głębi sceny na wzniesie-
niu.

Leszczyński zwrócił się do jednego z nich.

— Wiecie, że Kazio Hofman przywiózł z Ameryki Rapackiemu biurko-lóżko.

— Co pan mówi?

— Uważasz, tak jest, niby biurko, a jak chcesz spać, to pociągniesz za sprężynę i wyjeżdża łóżko z materacem. Uważasz w ten sposób. W tem miejscu Santos zaczął mocno gestykulować. Ja, siedząc za drzewkiem, z przerażenia szepnąłem:

— Panie Bolesławie, co sobie tam publiczność myśli.

— Ty, operetkiewicz, siedź cicho. Publiczność myśli, że mówię o torturach dla Uriela. Rozumiesz.

— Aha.

Uspokoilem się.

Kotarbiński kończył tyradę:

„Ponieważ nie chcę wtedy leżeć w cieniu,

Gdy wy będziecie okrwawioną stopą

Tułacze ślady znaczyć na gościńcu,

Ponieważ cierpieć chcę waszem cierpieniem,

Więc przeklinajcie, bo ja jestem żydem“.

Teraz my — rzekł Leszczyński. — Mały, gadaj.

Podniósł rękę do góry i stał jak posąg, wykuty dłonią Buonarottiego.

Ja z cicha szepnąłem.

— Modlitwa z ust twych

Leszczyński milczał, tylko tupnięciem nogi zmanifestował swoje zniecierpliwienie.

Silnie zdenerwowany, powtórzyłem głosniej:

— Modlitwa z ust twych

— Kanaljo — rzekł żałośnie półgłosem Leszczyński, trzymając ciągle rękę w górze. Zwarjowałeś. Jaka modlitwa, kiedy mam przeklinać.

Pot kroplisty wystąpił mi na czoło. Co to będzie?

— Tak, przekleństwo — odpowiedziałem z rozpaczą w głosie, — ale zaczyna się od słowa modlitwa.

— Aha, dobrze. Modlitwa z ust twych niechaj płynie w czczość — ryknął jak lew.

Po akcie zjawilo się kilku melomanów.

— Ach ten Leszcz kochany, jak on grał.
Ta pauza przed przekleństwem. Ciarki nas
przechodziły. Ta wściekłość w tym wybu-
chu. To tupnięcie nogą.

Mistrz, mistrz w każdym calu.

Tak, to był mistrz.

Grałem z nim potem w Poznaniu, kiedy
był na występach.

Grał „Króla Lira“.

Powtórzyła się ta sama historia. Na pró-
bie umiał znakomicie, a na przedstawieniu
tracił głowę.

Może nie wszystkich te fakty, o których
wspominałem i w których brałem czynny
udział, przekonają.

W każdym razie zachwieją trochę praw-
dziwość tej fałszywej legendy.

Ja spełniłem swój obowiązek. Ściskam
dłoń Jerzego Leszczyńskiego i dziękuję mu,
że dał wyraz szlachetnemu oburzeniu i łą-
czę się z nim w słowach.

Będziemy bronić sławy naszych ojców.

CO ZAWDZIĘCZAM AKTOROWI.

Rosyjski poeta Niekrasow za napisanie
nieprawomyślnego wiersza skazany został
na banicję.

Sędzia sam odczytał w sądzie ów utwór
wyklęty.

Niekrasow już po wyroku interpelowany
przez sędziego, czy bardzo jest przygnębio-
ny tak surową karą, odpowiedział:

— Panie sędzio, ta kara jest błahostką
w porównaniu z cierpieniem, jakiego do-
znawałem, słuchając mojego utworu w pań-
skiej interpretacji.

Tak interpretacja jest alfą i omegą. Jest
powodzeniem lub zgubą. Jest tryumfem
lub klęską.

Zła interpretacja pograża autora w roz-
pacz, odbiera mu sen i apetyt.

Dobra dodaje mu humoru, prowadzi na czarną kawę z likierami i kołysze marzeniami o tantjemie.

Sam utwór jest martwym posągiem, dopiero aktor - Pigmaljon wlewa w niego życie.

Widziałem wiele sztuk, utrzymujących się na repertuarze tylko dzięki genialnej interpretacji jednego aktora. Zeszły one ze sceny razem z wykonawcami. Że wspomnę „Syna puszczy“ z Leszczyńskim Bolesławem, „Doktora Robina“ z Królikowskim, „Przebudzenie się lwa“ z Żółkowskim. Cóż byłby wart „Bogaty wujaszek“ bez Kamińskiego? Tylko świetna interpretacja wielkiego artysty zapewniła powodzenie tej słabej sztuce.. Mógłby ktoś z tego ukuć paradoks, że aktor wirtuoz wprowadza na scenę sztuki bez wartości, aby wykazać swoją technikę. Nieby to nie szkodziło, ale tak nie jest. Aktorzy nie wprowadzają sztuk na scenę, otrzymują tylko role. A że z roli wykrzeszą czasem więcej, niż marzył o tem sam autor,

to tylko na plus zapisać im trzeba. A zresztą, weźmy wielkich odtwórców w innej gałęzi sztuki, na przykład pianistów. W koncertowym programie po Bachu, Beethovie i Szopenie, nie obejdzie się bez Liszta, tylko dla wykazania techniki. A ileż mamy układów walca Straussa dla tej samej przyczyny. Interpretacja niezwykła i tu musi obudzić zachwyt.

Ale czas odpowiedzieć na zapytanie.

Co zawdzięczam aktorowi?

Co tu dużo gadać, co tu obwijać w bawełnę.

Zawdzięczam wszystko.

Nie wyobrażam sobie świetniej zagranej sztuki niż „Papa się żeni“ w teatrze Letnim. Ten koncert gry zmuszał publiczność przez długi szereg wieczorów do bezustannej wesołości.

Czy bez znakomitej interpretacji moich koleżanek i kolegów, moja sztuka zyskałaby takie powodzenie?

Sądzę, że nie, a nawet jestem pewny. Tylko bardzo pechowy autor może narze-

kać na aktorów. Zresztą, nic mu innego nie pozostaje.

Ktoś musi być winien.

Moje sztuki, dzięki aktorom, zawsze przekroczyły ulubioną cyfrę 50 „Panna z dobrego domu“, „W czepku urodzony“, „Czarujący emeryt“.

Zdrowa dusza w zdrowem ciele, dobry aktor w dobrej sztuce, to powinno być naszą dewizą.

SALON SZTUKI.

Duży salon. Perskie dywany oddane do wyświechtania, aby się stały droższe, mnóstwo drobiazgów z którymi nie wiadomo co było zrobić w domu, więc przywędrowały tutaj, jako cenne antyki.

Budząca się Wenus starowłoskiej szkoły, która znalazła tu schronienie, ponieważ Feluś się żeni i już mu Wenus na obrazie nie potrzebna. Talerz prawdziwy sewrski z portretem Ludwika czternastego, trochę nadtłuczony. Kielich kryształowy Karola piątego trochę wyszczerbiony.

Miniatura pani Pompadour, trochę starza, wszystko trochę nadwyreżone, ale autentyczne, wszystko sprawdzone, podpisane, zarejestrowane.

Stare makaty, stare szafy, stare brzozy,
wszystko stare.

Jedyny przybytek, gdzie młodość jest
przyjmowana pogardliwie. Za to kupują-
cy powinien być bardzo młody, mieć ser-
ce niezepsute i zielono w głowie. To jest
bardzo potrzebne dla ułatwienia transak-
cji.

Nie ma tu szczerbca Chrobrego, który
się znajdował równocześnie w Ermitażu
petersburskim i muzeum wiedeńskim, ale
za to są tabakierki, o których marzył Na-
poleon, są pasy słuckie, o jakich się nie
śniło Radziwiłłom, są kandelabry szczero-
złote z prawdziwego brzozy i wielka ga-
lerja obrazów, reprezentowana przez
wszystkie szkoły. Włoskie, holenderskie,
francuzkie, angielskie, a nawet i polskie.

— Czy szanowny pan co wybrał?

— Proszę pana, ja właśnie wynająłem
mieszkanie i urządzam się.

— Doskonale, że pan przyszedł do nas.
My wszystkich urządzamy nadzwyczajnie.

Zacniemy naturalnie od gabinetu skórza-
nego.

— Nie, nie, ja meble już mam. Tylko
chciałbym kupić jaki obraz. Niech kosztu-
je co chce, aby było na co patrzeć.

— Rozumiem. Czy panu konwenjuje
starowłoska szkoła?

— Nie, nie... wołałbym któregoś z na-
szych.

— Bardzo słusznie. Może Fałacik?

— Dobrze, a jaka cena?

— Pięć tysięcy.

— O, to nie na moją kieszeń. Ale ja tu
proszę pana, widziałem kiedyś Fałata i ko-
sztował o wiele mniej.

— Tak jest, prawda, tak. Szanowny pan
się nie myli. Pamiętam doskonale, ale to
był Fałacik letni, a to gruba różnica: A to
jest Fałat zimowy.

— Aha, to jest zimowy?...

— A może Kossak? Jest droższy i tań-
szy. Ten kosztuje sześć tysięcy, a ten
tylko trzy.

— A dlaczego, proszę pana? Przecież obydwaj są letnie.

— Tak, szanowny pan ma słuszość. Ale widzi pan, na tym są tylko sami ludzie, a tu są i ludzie i konie. Rozumie pan? Kossak bez koni, to tak, jak Ejsmond, bez kwiatów. Otóż ludzki Kossak jest tańszy, a koński droższy, to proste.

— Aha, ludzki... jest tańszy... to ciekawe... Proszę pana, a ten kościół, to czyjego pendzla? Bardzo mi się podobał.

— A naturalnie... piękna rzecz. To jest Cieślewski, architektura... trzy tysiące.

— Trzy tysiące? Drogo.

— Mam Cieślewskiego pejzażowego, będzie o wiele tańszy.

— A czy pejzaże są nieładne?

— Przeciwnie, bardzo piękne, ale widzi pan, Cieślewski architektoniczny jest droższy, a pejzażowy tańszy, to trudno.

— To może ja się zdecyduję na pejzażowego?

— Proszę pana bardzo. Wszystko zależy od pańskiego gustu.

-- A te kwiaty?

— To Lindeman.

— Wspaniałe, jak żywe.

— A ten pejzaż?

— Także Lindeman.

— Tak? To który tańszy?

— Widzi pan dobrodzieju, wyjątkowo wszystko jedno. Lindeman kwiatowy i pejzażowy w jednej cenie.

— Jako wszystko trzeba wiedzieć.

— A naturalnie. To są tajemnice prawdziwej sztuki.

— O panie, to jest bardzo ładne, to mi się podoba, czyje to?

— To pejzaż naszego Lasockiego, jubilat.

— A czy bardzo drogi?

— Zgodzimy się. Ale zwracam panu uwagę, jako uczciwy sprzedający, że pejzaż jest bez krowy.

— A na cóż mi krowa. Jest niebo.. jest woda... jest łąka...

— Ja tylko dla porządku, bo prawdziwy Lasocki powinien być z krową.

— To nadzwyczajne.

— Więc jak szanowny pan decyduje?

— O właśnie moja żona przyszła, ona zadecyduje. Chodź Zosiu, bo widzisz, jest taka historia. Fałata letniego nie ma, a zimowy za drogi. Cieślewski tylko pejzażowy, Kossak za bardzo ludzki, a na końskiego mnie nie stać, Lindeman taki czy owaki, to wszystko jedno, więc wziąłem Lasockiego bez krowy. Przecież o głupią krowę nikt nie będzie miał do nas pretensji.

— Ale nic z tego, mój drogi, bo ja się już rozmyśliłam i dałam zadatek na dywan.

HALLO, HALLO!

Długo myślał pan Ryszard, co kupić pannie Adeli na imieniny. Kwiaty zwiędłą. Czekoladki znikną, jubilerskie wyroby zadrogie. Pozatem dusza panny Anieli wznosi się nad poziom powszedniości, ku wyżynom. Pragnie czegoś nadziemskiego, owianego poezją. A więc, niech te wrażenia, o których marzy, przypłyną do niej na falach eteru.

Pan Ryszard kupił na imieniny Radjo, które w pięknym opakowaniu złożył u stóp swej bogini.

— Dziękuję panu. Co za rozkosz, słuchać Szopena lub Mozarta i upajać się słodkimi dźwiękami lub wzruszać serce słowami naszych wieszczów w interpretacji Leszczyńskiego lub Węgrzyna.

— Nie traćmy czasu, panno Aniela, włóżmy słuchawki. Aussitot di aussi tot fait.

Na falach eteru biegły już słowa.

...,Szczołki, zamiataczki, śmietniczki, spluwaczki, najlepiej nabyć na Marszałkowskiej“...

— Co to ma znaczyć? — zapytała panna Aniela, odkładając słuchawkę.

— To nic, to rozmaitości. Niedługo potrwa.

— Dobrze, napijmy się herbatki...

Po herbatce skwapliwie założyli słuchawki:

...,Saradela, dostawa loco 150, rzepak liolenderski 120, kapusta“...

— A, znowu te rozmaitości, — westchnęła panna Aniela.

— Nie, nie, to giełda zbożowa. Musimy chwilkę poczekać.

Dziesięć minut przeszło.

Słuchawki założone.

Radjo uroczyście obwieszcza:

...,Żrebne klacze umieszczać w oddziel-

nych klatkach, wyścielonych słomą. Pryszczycze u świń leczyć najlepiej sposobem domowym. Zobacz hodowla świń i wieprzy.

Panna Aniela rzuciła z gniewem słuchawki.

— Doprawdy, bardzo mi przykro, — tłumaczył się pan Ryszard, — ale teraz już napewno będzie muzyka. O, nawet słyszę dźwięki.

— Cóż to takiego?

— Jazz - band z restauracji z „Pod zdechłego kota“. Bardzo dobrze grają.

— Uszy mi puchną od jazz-bandów.

— To poczekamy na operetkę. Będzie za pół godziny.

— No, nareszcie. A już byłam w rozpaczy. Ma pan szczęście. Posłucham z przyjemnością Messalki, Bielskiej, Horbowski, Redę, Mierzejewskiego i innych dobrych znajomych.

— O ile wiem, — rzekł nieśmiało pan Ryszard, — to żadna z tych gwiazd nie śpiewa w Radjo.

— Co? Doprawdy, pan chyba widocznie chciał wytoczyć walkę moim nerwom, przysyłając mi to idjotyczne radjo.

— Ale co znowu, panno Anielo. Niech pani się uspokoi. Ja myślałem, że to pani zrobi przyjemność.

— Przyjemność? Co miało mi zrobić przyjemność? Hodowla wieprzów, czy rzepak holenderski?

— Ależ nie, tylko...

— Tylko co? jazz-band z „Pod zdechłego kota?”

— Panno Anielo, niech się pani nie gniewa. Na wszystko jest rada. Połączymy się z zagranicą.

— Z zagranicą?

— Naturalnie. Z Berlinem, albo z Wiedniem. Zaraz przejrzę program. W Wiedniu Kiepora śpiewa dziś Turandota. Jedziemy do Wiednia.

— Doskonale, jedziemy do Wiednia.

— Widzi pani, wszystko w porządku.

— Czemuż pan odrazu tego nie zrobił? Łączmy się z zagranicą.

„DZIEWCZYNA Z SERCEM“.

(Cyniczna humoreska).

Powiadają, że łatwiej znaleźć dwóch jednakowo myślących krytyków, niż jedno pocziwe serce.

Widocznie, że ja urodziłem się w czepku, znalazłem bowiem serce czułe i kochające, rączki białe i drobne i oczy, jak dwie gwiazdy wpatrzone we mnie.

Ignas mówił, że pewno nie we mnie, tylko w moją kieszeń; ale on jest głupi.

Właścicielka mojego serca zarabiała na życie nóżkami, była bowiem ozdobą corps-de-baletu.

Niusia kochała wszystko. Kochała swoją papugę, swojego pudła, swój parawanik, swojego kanarka, swoją mamę — i mnie.

Mnie kochała najbardziej. Od pierwszego wejrzenia interesowała się moją osobą. Powiedziała mi, że jestem „taki inny“ i zaszachowała szeregiem pytań.

Ignas mówił, że chyba zaszachowała, — to są takie jego dowcipy.

Pytała, jaki mam majątek, jaki dochód, ile w papierach, ile w gotówce, a we wszystkim drgała nuta szczerego i prawdziwego uczucia.

Mrok już zapadał, a ja, mimo pierwszej wizyty, nie ruszałem się z miejsca. Niebezpieczeństwo kuszących ciemności rozproszyła wkrótce lampa, która ukazała się we drzwiach, wniesiona przez mamę.

Lampa z czerwonym abażurem, której rezerwoar opierał się na podstawie, wyobrażającą Ewę w stroju... Adama.

Mama bez abażuru. Rezerwoar mocno ściśnięty, podstawy ukryte w fałdach sukni, w stroju Ewy naszego wieku.

Ignas mówi, że za jego czasów była zupełnie inna mama, i że Nusia zmienia mamy, jak niektóre dzienniki przekonania.

U tego człowieka niema nic świętego.

— Czego mama się kręci? — zapytała z prostotą Nusia.

— Po ciemku będziesz łaziła, żebyś sobie nos stłukła?

— Władka mogła to zrobić.

— Władka pierze.

Chciałem wstać, aby się mamie przedstawić.

Nusia przytrzymała mnie silnie za poślę i uszczypnęła w nogę.

Zdawało mi się, że słyszę już szelest otwierających się rajskich podwoi.

Tych wyrażen nauczyłem się, obcując z Nusią.

Mama tymczasem podała kwit lombardowy swojej jedynaczce.

— Przypominam ci, że trzeba wykupić, bo bransoletka zje śledzia.

— Teraz mama do choroby wyjeżdża z takimi głupstwami.

Uważałem za stosowne wtrącić słówko.

— Gdyby mi było wolno załatwić tę drobnostkę...

— To już z mamą obgadajcie; mnie to ani ziębi, ani grzeje.

Mama zwróciła się do mnie (jakie to szczere natury). Nie byłem jej przecież przedstawiony.

— Proszę pana, ta Niutka, to nas wszystkich zgubi przez swoje dobre serce; ostatnią kieckę zastawi, aby pomagać biednym rodzinom.

Co to za anielska istota. Czyż potrzebuje dodawać, że nazajutrz wykupiłem bransoletkę.

Na dobry ten uczynek wydałem 300 rubli.

Wprawdzie doniesiono mi z Litwinówki, że się płot przewraca i trzeba kupić nowy, ale ja wolę mieć przewrócony płot, a zato zrobić coś dla społeczeństwa.

Ignas powiedział, że te szacherki z kwitami powtarzają się 20 razy na miesiąc, tylko, że zawsze z innym bębenkiem.

Jaki to straszny cynik.

Nisia z całą delikatnością poświęcała się dla bliźnich. Nigdy nie poznałem nazwisk tych istot, nagle zubożałych, które tylko dzięki dyskrecji Niusi nie rumieniły się przy każdym spotkaniu ze mną.

Ignas mówił, że te biedne rodziny mieszkają na księżycu. Ciekawym, co on jeszcze wymyśli?

— — — — —
Pierwszy raz w niedzielę byliśmy z Niusią i mamą w gabinecie.

Od humoru i wesołości aż kipiało.

Po kolacji zostałem sam na sam — z mamą, bo Niusię wywołał kelner do drugiego gabinetu, gdzie była jej ciotka, która na jeden dzień przyjechała z prowincji.

Ignas powiedział:

— Tylko taki idjota mógł uwierzyć, że to była ciocia.

Okropny jest ten Ignas.

Wiem dobrze, że bransoletka, którą już trzy razy wydobywałem z lombardu, jest od cioci, i meble „empire“ także ...i ogrom-

ny obraz, co wsi nad drzwiami w salonie, także. Ignas powiada, że to nie jest salon, tylko sala licytacyjna.

Nawet nie wiem, co to ma znaczyć, dość, że z nim gadać nie można. Za to z mamą nie nudziłem się wcale.

Hołdując maksymie, że „in vino veritas“, dolewałem jej ciągle.

— Ach, panie — mówiła mama — niema lepszej dziewczyny, jak Niuska. A jaki z niej kawalarz. Pamiętam, jak nas zaprosił na kawę ten sknera, Goldfresser. Podczas, gdy ja go zabawiałam, Nusia poszła do bufetu i kazała odesłać do mieszkania 150 pudełek czekoladek, 20 tortów i 50 babek. Ach, co to było potem zabawy... Goldfresser musiał jeździć po pieniądzu do domu, bo mu na tę „kawę“ zabrakło, a myśmy torty sprzedawały po rublu, a babki po pięć złotych, a nawet stróżce, to pocziwa Nusia dała darmo pół babki, tylko za to jej mąż wyrzepał wszystkie dywany i meble w dodatku. Służbę wogóle należy trzymać krótko i nieraz porządnie psa wybrać, bo straszna

hołota. Panie, jeżeli Nusia powie czasem coś takiego, co pan wie — to przez te sługi.

— Nie może być?...

— Ach, panie, co to za plaga... A szkody, jakie robią... Czy Nusia mówiła panu o wazoniku zakopiańskim?

— O wazoniku? Nie, nie słyszałem.

— Ech... to się panu zaraz facjata rozjaśni, jak opowiem. To mój pomysł... Otóż, uważa pan, ten wazonik mamy do płacenia.

— Jakto do płacenia?

— Zaraz, zaraz. Wazonik jest stłuczony i skleiony. Na kilka dni przed pierwszym, daje się go słudze do wymycia. Głupia dziewczyna kładzie do wody.... Klej naturalnie puszcza i z jednego wazonika robią się dwa. Wtedy rozpoczynamy z Nusią arabskie awantury. Potracamy za szkodę pensję i wyrzucami na zbity łeb.

— Wazonik?

— Nie, tłomoka...

— Tłomoka?

— Tak, dziewczynę, a wazonik się skleja.

— I co potem?

— Jeszcze panu mało? Przychodzi drugi tłumok i tak wkoło Wojtek.

Niebardzo mi się ta transakcja podobała, ale Nusia tu nic nie winna, tylko mama.

Mama skończyła drugą butelkę szampa-
na, co ją usposobiło bardzo uczuciowo.

— Panie, jak ona kochała tego Emila. Niema rzeczy, którejby dla niego nie zrobiła... Przez niego, to sobie zupełnie popsuka markę. Mówiłam jej: nie afiszuj się tak ciągle. Nic nie pomagało... Ale cóż, proszę pana? taki Emil, póki miał, to dawał..

— Dużo dawał?

— Tego nie wiem, bo to nie za moich czasów.

Widocznie mamę rozmarzyło, nie wie, co gada.

— Tak — mówiła mama dalej — wtedy była ta stara wyjadaczka, Bęczkowska. Ślicznie prowadziła interesy. Emil zapoży-
czał się u wszystkich żydów, a raz chciał, żeby Nusia za niego poręczyła. Ale ja nie

dopuszczałam. Wyrzuciłam Emila i Bęczkow-
ską.

— Cóż to za Bęczkowska?

— Mówiłam przecie: pozwałała na schadzki, chociaż Emil nie miał już ani gro-
sza. Dopiero ja jej powiadam: „Cóż-to, moja Niusiu, filantropką jesteś, czy co?”.

— Jakto filantropką?

— No, niby, że darmo...

— Co darmo?

Mama nie słysząc mnie wcale, wychylała już nie wiem który kieliszek i jęknęła:

— A jakie to były szopki, jak się ten Ka-
rol żenił.

— Chciała mama powiedzieć Emil.

— Emil znowu, Emila zamknęli, bo wek-
sle sfałszował. Jak ona kochała tego Karo-
la. Niema rzeczy, którejby dla niego nie
zrobiła. Takie pieniądze miał i wszystko
zmarnował.

— Pewno przegrał?

— Ale gdzietam... Taki sknera, przegrał.

— Więc cóż?

— Ożenił się łotr — z córką doktora. Kiedy powiedział o tem Niusce, zaraz chciała się rozchorować, ale nie miała czasu, bo u nas bywał wtedy bardzo przyjemny fabrykant. Nusia powiedziała, że się potem rozchoruje, jak fabrykant wyjedzie.

Mama chciała jeszcze dalej mówić, ale przerwała jej swoim wejściem Nusia.

Była rozpromieniona.

— Cóż? nie gniewa się pan na mnie?

— Ja? za co?

— O, ja wiedziałam, bo pan ma dobre serce. Pan jest „taki inny”. Do mnie nikt jeszcze tak nie przemawiał. To też niema rzeczy, którejby dla pana nie zrobiła.

— O panno Niusiu, moja Niusiu.

Tak szczebiotała Nusia, siadając mi na kolanach i zarzucając ręce na szyję, mówiła:

— Musiałam oddać cioci ostatnie pieniądze, przyjechała do mnie, bo jej sklep licytują, dodaj jeszcze, mój drogi powiedziała „mój drogi” ile tam możesz, ze sto rubli na ten cel szlachetny. Nie zwierzyłabym się

żadnemu mężczyźnie, ale ty jesteś „taki inny”.

Naturalnie, że dałem w tej chwili.

Ignas powiedział, że on także był „taki inny”, ale że z tym sklepem i licytacją, to coś nowego.

— Tego jeszcze nie znałem — krzyknął — Brawo, Niuśka.

Przynajmniej raz mu się coś podobało.

Nusia wzięła 100 rubli i zanosła cioci.

Po jej odejściu mama zawołała:

— Poco pan daje na te wspomaganie? to końca nie będzie. Wczoraj znowu zastawiła bransoletkę — o, jest kwit, niech pan wykupi... a tu od próśb drzwi się nie zamykają. Ignas powiedział, że od jednego obywatela ciągle brała na biedne rodziny, a jak mu zabrakło pieniędzy, to musiał weksle podpisywać. W końcu zrujnował się zupełnie. Nusia zaraz zrobiła składkę i zebrała dla niego 4 ruble. Zawsze to pieniądz dla tego, co nic niema.

Nic z tego nie zrozumiałem.

Czy to miała być pochwała, czy co?

Widocznie ciocia robiła ogromne ceremonje z przyjęciem tej zapomogi, bo Niusia już nie wróciła do nas, a kiedy posłałem kelnera, powiedział, że już dawno pojechała.

Byłem trochę zalekniony, czy nie chora.

Mama uspokoiła mnie, że pewno ciocię odprowadza na kolej.

Ignas znowu ubolewał nademną, i z tego powodu nastąpiła między nami żywa wymiana zdań:

— Dlaczego to razem z peruką nie można sobie kupić rozumu? (to niby aluzja do mojej łysej głowy).

Rzuciłem wzrokiem na jego gęstą czuprynę i odpowiedziałem:

— Głupia głowa nie łysieje.

— — — — —
Wszystkie te docinki powtórzyłem Niusi. Druga na jej miejscu, zarazby krzyknęła, ale to była dziewczyna z sercem... więc rzekła z odcieniem smutku:

— Ciebie to dziwi? przecież on musi mścić się na mnie za to, że nic nie wskórał. Każdy mężczyzna jest taki, jak nic nie skorzysta, to obgaduje i odsądza od czci i wiary. Trudno, ty mi się podobałeś, a on nie.

Teraz dopiero zrozumiałem wszystko. — Jaki to podły ten Ignas.

Długo walczyłem z sobą, ale w końcu powiedziałem mu, co o nim myślę.

Ignas pękał ze śmiechu, że aż przechodnie stawali.

— Ty dopiero jesteś okaz na wystawę, stworzony dla Niuski.

— Więc może ona mnie nie kocha?

— Ależ kocha, naturalnie. To jest dziewczyna z sercem — i kocha wszystkich, a najbardziej idjotów.

— — — — —
Są ludzie, którzy największą rozkosz widzą w robieniu krzywdy drugim.

Czystą krynice miłości zatruc goryczą
wątpienia, to dla nich uciecha.

Gdyby Otello miał ten rozum, co ja i nie
słuchał podszeptów Ignasia... chciałem po-
wiedzieć: Jagona, nie byłoby awantury
z poduszką.

W mojej obecności posłaniec wręczył list
Niusi.

List, to jeszcze nie zbrodnia...

Niusia podarła go na kawałki, nie pozwa-
lając czytać.

Dla Ignasia byłby to już cień podejrzenia.

Niusia powiedziała do posłańca:

— Przyjdę o umówionej godzinie.

Ignas zagrałby już scenę z Otella.

Tymczasem cóż się okazało:

List był od krawcowej, która upominała
się o pieniądze, Niusia przez delikatność
nie chciała pokazać listu, abym tego nie
uważał za jakieś przymawianie się.

Powiedziała do posłańca: — „przyjdę
o umówionej godzinie. To znaczy:

Przyjdę przymierzyć suknię.

Aby mnie zupełnie przekonać, oznajmiła,
że nie przyjmuje nikogo przez cały tydzień,
a nawet i mnie, gdyż z krawcową żartów
niema.

Pożegnałem się z Nusią i zostawiłem jej
500 rubli na ten rachunek.

Były to pierwsze pieniądze, jakie Niusia
przyjęła odemnie.

— Jakto? — zawołał Ignas. — Przecież
sam mówiłeś, że nadwyreżasz już trzeci ty-
siąc.

— Tak, ale to wszystko było nie dla niej,
tylko na biedne rodziny.

— Tak? A na szpital w Tworkach nic nie
dałeś?

— Nie.

— Szkoda. Powinieneś pomyśleć o przy-
szłości.

To był niby dowcip.

— — — — —
— — — — —

Jestem na wsi w Litwinówce.

Ktoby przypuścił? ja sam sobie nie wierzę. Oddalony o 137 wiorst koleją i 5 końmi od mojej Niusi. Jak ona tam tęskni za mną.

Nie, to chyba sen — straszny sen.

(To ostatnie zdanie jest z powieści, bo ja teraz bardzo dużo czytam).

Wszyscy Jagonowie, Macchiawele i ten krwiożerczy Marat (historja rewolucji w 2 tomach). Wszystkie potwory są barankami wobec Ignasia.

To moje przymusowe czytanie jest także jego sprawką. Ciągłe mi znosi książki, ironicznie się uśmiecha i mówi:

— Niech ojciec czyta, to się ojcu przyda.
„Ojciec“.

Co za straszne położenie, taki łotr nazywa mnie ojcem, a ja muszę siedzieć jak mysz pod miotłą i ani be ani me (to moje własne, nie przeczytane).

Doprawdy, dzieją się rzeczy, o których się filozofom nie śniło...

Pięć tygodni już nie widziałem Niusi. Siedzę zamurowany w swoim pokoju, jak

Barbara Ubryk (śliczna powieść, czytałem przedwczoraj).

Mój Boże. Kiedy sobie przypomnę...

Śniadanko było zamówione.

Nusia napisała taki śliczny list...

Mam go przy sobie i chyba z sercem mi go wydrą (z tej Barbary).

Co za list...

Jeszcze raz przeczytam.

Mój aniołku.

Kazałam sobie zrobić dziesięć sukien, pragnę pięknie wyglądać, aby się Tobie podobać. Jutro będę w naszym gabinecie o pierwszej.

Twoja
Nusia.

O, jakże uroczym był obraz mojego marzenia. Opiszę go:

Moje marzenie:

Zakąska — kawior — łosoś — homar —
koniak — sześć tuzinów ostryg — dziesięć

lekkich pocałunków — chablis — bażant — pularda — dla mamy schab z kapustą (na jej żądanie) — lody — dwadzieścia gorących pocałunków z uściśnieniami — szampan — moja noga pod stołem przyciska jej nóżkę — owoce — deser — czarna kawa — likiery — jej nóżka na mojej nodze — pocałunki namiętne — mama ululana, śpi — gaz się ściemnia — raj.

Marzenia prysnęły jak bańki mydlane, a obraz rzeczywistości wyłonił się przed oczami zdziwionych przechodniów w sposób następujący:

Rzeczywistość:

Kochające serce biegnie na schadzkę (to ja). Na ulicy kochające serce spotyka... rodzoną córkę.

DIALOG autentyczny:

— Co ty robisz, Jadwiniu?

— Ależ ja po tatkę przyjechałam, bo na wsi dzieją się straszne rzeczy.

— Jakie straszne? co?

— Ja się nie znam, ale pan Ciegiewicz mówi, że tatko musi zaraz wracać, bo będzie źle...

— Głupia jesteś.

— Tatuńciu i pan Ignacy pisał stąd, żeby tatuńcia zabrać na wieś, bo tu coś grozi tatuńciowi.

— Co takiego?

— Tak, tak. Ja już tatuńcia nie puszczę.

Kochająca córka bierze kochającego ojca pod rękę. Idą jak Edyp z Antygona, (Edyp był ślepy, ja zato jestem łysy).

Straszna scena na ulicy.

Przecudnej urody kobieta (Niusia) spotyka malowniczą parę.

Szalona zazdrość wybucha w sercu zranionej boleśnie dziewczyny.

Parasolka spada na głowę kochającego ojca i zrzuca cylinder na prawo, a perukę na lewo.

Przerażona córka słyszy, jak zraniona boleśnie dziewczyna woła:

A ty łotrze, ty marmolado, ty stary niedołęgo, z lafiryndą pod pachę? ty...

Scena 2.

Zjawia się bohater, a raczej czarny charakter — Ignaś.

Gwałtem wpycha mnie do dorożki.

Podnosi cylinder, a zostawia na polu bitwy tarzającą się w rozpacz zranioną dziewczynę, złamaną parasolkę i rozczochraną perukę.

Bohater podaje rękę zapłakanej Jadwini i jedziemy na dworzec kolei wiedeńskiej.

Ignaś kupuje bilety, wprowadza nas do wagonu, całuje w rękę Jadwinę i znika (bohater zawsze znika).

Jedziemy 137 wiorst koleją i 5 kołmi. Cylinder, nie przyzwyczajony do głowy, bez garstki włosów, wpada mi na oczy.

Tydzień upłynął. Ignaś zjawił się w Litwinówce.

Czemu to Ciągiewicz psów na dzień nie spuszcza, możeby go rozszarpały.

Ignaś ucharakteryzowany na bohatera.

Jest bardzo poważny, nawet ma lakierki.

Rzecz dzieje się w saloniku. — Bohater ma głos.

— Przybyłem, ażeby państwu oznajmić, że nareszcie nieporozumienie się wyjaśniło.

— Jakto? — bąknąłem.

— Wiemy, kto był ową szaloną damą, która tak napadła biednego „tatuńcia“.

Przy wyrazie „tatuńcia“ — lekki uśmiešek zaigrał na ustach opowiadającego.

— Więc cóż owa dama?

— Owa dama, to znana w Warszawie ze swej piękności doktorowa. Bardzo przyzwoita osoba, ale strasznie zakochana w swoim mężu. Tatuńcio, chociaż o wiele starszy (znowu uśmiech ironiczny) jest ogromnie podobny do doktora (naturalnie w peruce). Pani doktorowa w szale zazdrości, sądziła, że widzi pana doktora w towarzystwie tak uroczej ósóbki (idjotyczne spojrzenie na moją córkę) stąd cała awantura.

— Ach, poco tatuś nosił tę obrzydłą perukę — westchnęła Jadwinia.

— Tak, to rzeczywiście było wcale niepotrzebne. W dalszym ciągu przybyłem ostrzec państwa, aby „tatuńcio“ pod żadnym pozorem nie przyjeżdżał do Warszawy, gdyż całe miasto o nim tylko mówi i o tej nieszczęsnej peruce, którą jakiś dowcipniś złożył w redakcji. Jak tatuńcio tylko zjawi się u nas, zaraz we wszystkich humorystycznych pismach ukażą się jego portrety.

— Ach mój Boże.

— To jeszcze nic. Zaciętrzewiony doktor powiedział, że tatuńciowi łeb rozplata, jak go spotka na ulicy.

— Okropność... O, może pan być pewny, że już tatuńcia na krok nie puszcze z domu.

— Właśnie, życząc państwu jaknajserdeczniej, chciałem o to prosić. (Wściekłość nie pozwalała mi słowa wymówić).

— Przypuszczam jednak, że interesy majątkowe nakazują tatuńciowi od czasu do czasu być w Warszawie...

— Ma się rozumieć — przerwałem — bez tego, ani rusz.

— Przewidziałem tę ewentualność i postanowiłem zająć się bezinteresownie wszystkim. Może kiedyś otrzymam za to nagrodę (znowu głupie spojrzenie na Jadwinie). Tatuńcio podpisze plenipotencję na moje imię, a ja obejmę ster wszelkich spraw. Twarz Jadwini oblała się rumieńcem wdzięczności.

Taki Ignas w powieści nazywałby się pajakiem.

Tak pięknie poprowadził interesy, że w cztery tygodnie potem wyjechał już z Jadwiną i swoją matką do Warszawy po prezent ślubny.

Nie mogę się sprzeciwiać temu małżeństwu. Zresztą, taki łotr może być dobrym mężem.

Wczoraj wrócili.

Jadwinia wbiegła do pokoju ze słowami:

— Ach tatuńciu, widziałam panią doktorową, jechała powozem z jakimś dragonem, bardzo grzecznie mi się ukloniła.

Ten dragon, to pewnie pomysł Ignasia.
Uczy już przyszłą żonę kłamać.

Kajdaniarz.

Oczerniać taką istotę.

Ciągle mam przed oczami tę straszną
scenę.

Ten gniew zdradzonej lwicy.

Jak ona mnie kochała.

RYSZARD TRZECI.

(Z dziejów teatru łódzkiego).

Jean Paul powiada, że Apollo, bożek sztuki, kosztem ciała ulepszył szlachetne dusze swoich wybrańców i dał im mało do życia, aby wiecznie żyli.

Ta piękna sentencja bardzo nam się podobala, o ile czytaliśmy ją... po obiedzie. Przed obiadem kwitowaliśmy z *wiecznego życia*, aby *narazie* było co, jak to mówią, do głęby włożyć.

Tak poziomem wiedzy uczuciami, zapełniliśmy szczerze kancelarję teatralną, spodziewając się zaliczki.

A działa się to w Łodzi, za dyrekcji Michała Wołowskiego, autora „Towarzysza pancernego“ i „Naszych aniołów“.

Nasz dyrektor, chłop na schwał z sumiastym wąsem, w szarej czapce barankowej, dowodził nam jasno i dobitnie, że z próżnego i sam Salomon nie należy.

My jednak, utopiści, zawsze w niezgodzie z logiką, gwałtem domagaliśmy się, aby ten Salomon nam coś z próżnego wycedził.

Rozpoczęła się na ten temat żywa dysputa.

Wtem drzwi się rozwarły i wszedł nieznajomy człowiek, w bardzo wyszarzanym surducie, wysokiego wzrostu, co było dość dziwne ze względu na garb, który dźwigał na lewej łopacie.

Nieznajomy zwrócił się do dyrektora.

— Czy mogę prosić o krótką rozmowę?

— W jakiej sprawie? — odparł zaskoczony dyrektor — sądząc, że może to ktoś przysłany z większym rachunkiem za meble, firanki lub coś innego.

— Pan, widzę, bardzo zajęty — rzekł przybysz, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi. Ja także nie mam czasu. Powiem tedy krótko: Byłem wczoraj w tea-

trze. Pański zespół bardzo mi się podobał. Chciałbym zagrać u pana.

Dyrektor mimowoli rzucił okiem na garb.

Aktorzy spojrzeli po sobie znacząco. Każdy wyczuł, że się zanosi na coś nieprzeciętnie wesołego. Pewność tonu nieznajomego nie licowała z jego wytartym surdudem. Nasz świetny komik, król kawalarzy pierwszy mrugnął na dyrektora i zapytał z chytrym uśmiechem:

— Pan pewnoby chciał coś z Szekspira?

— Zgadł pan.

— Może Hamleta,

— Nie.

— Nie? A dlaczego? — pytał naiwnie komik.

— Nie leży w zakresie mojego talentu.

— To może Romea? — zawołał któryś z nas, nie kryjąc dobrego humoru.

Nieznajomy zmarszczył brwi i trochę pobladł, ale szybko wrócił do równowagi.

— Jeżeli dyrektor zgodzi się na moje warunki, to jutro o dwunastej możemy zrobić próbę.

— Brawo! — zawołał pierwszy amant.
Jutro czekamy na scenie.

— Przyjdę — rzucił niedbale nieznajomy
i wyszedł.

— Słuchajcie, to będzie wyższa frajda.
Widzieliście jak on wygląda?

O dziwo! Przed bramą stał bardzo elegancki powóz. Stangret nisko się uklonił. Nieznajomy wsiadł, pojazd ruszył wzdłuż Piotrkowskiej w stronę Pabianic.

Taki obtarganiec w takim powozie! —
zawołał młodziutki Antoś Fertner, rozpoczynający wówczas swoją karierę.

— — — — —

Nazajutrz wszyscy aktorzy, a było ich sporo, usadowili się w krzesłach, ażeby brać się za boki, gdy nieznajomy będzie *wyczy-
niać* Szekspira.

— Zaraz po trzeciem zdaniu, walniemy
mu brawo, żeby się kłaniał, — zawołał jeden z kolegów.

— Mnie się coś zdaje, że on kroił na Otella.

— Trzeba namówić Trapszową, aby markowała Desdemonę.

Trapszowa była świetną charakterystyczną.

— Słuchajcie — rzekł pierwszy komik. W rekwizytorni jest wieniec z Nitouche. Po zagranej scenie trzeba mu podać, tylko nie śmiać się!

Punkt o dwunastej zjawił się na scenie nieznajomy.

Bez przywitania, bez wstępu, podszedł do rampy i przemówił:

— Szanowni panowie artyści i panie artystki. Pozwólcie, że z łatwo zrozumiałych powodów zagram scenę z Ryszarda III.

Spojrzałem znacząco na Marcelka Trapszę, który siedział przy mnie.

— Z jakich powodów — zapytał jeden z kolegów.

— Ryszard trzeci był garbaty...
Nieznajomy zaczął.

— Hej żywo, żywo, kulbaczyć mi konia, wezwać Stanleya, by pułk swój sprowadził.

Już po tych słowach wielka cisza zaległa widownię.

Aktorzy lubią kawały. Są bezwzględni, gdy wynajdą ofiarę. W dręczeniu nie znają granic. Pastwią się bez sumienia, nie posiadając się z radości.

Ale aktorzy, — to entuzjaści. Nic im tak nie przemawia do duszy jak wielki talent. Nic ich tak nie rozgrzeje, jak potęga żywego słowa. Przed wielkim talentem korzą się jak przed bóstwem.

Nieznajomy mówił dalej.

Widzieliśmy przed sobą króla potwora.

Odczuwaliśmy całą grozę, jaka wisiała nad nim. Drżeliśmy przed jego dziwną barwą głosu. Mury starego teatru trzęsły się, jak nasze serca w piersiach.

— Konia, hej konia, królestwo za konia!

Cisza, długa cisza, a potem huragan oklasków. Szał ogarnął całe audytorjum. Nieznajomy stał, nie kłaniał się, a gdy się uciżyło, rzekł:

— Panowie, przepraszam was, zrobiłem wam wielki zawód. Chcieliście się nacieszyć moim garbem, moim mizernym widowiskiem, moją szpetnością, moją nędzą. Nie udało się. Szekspir w moim wykonaniu nie był niestety tą parodją, na którą czekaliście z upragnieniem. Poza tem, mimo lichego surduta, jestem bogaty. Chodzę w tym surducie dla harmonji. Tak jest. Lepiej on się łączy z moim garbem, niż wykwintne ubranie. Nie chcę, aby ktoś, przechodząc obok mnie, pomyślał sobie:

— Nic ci ta elegancja, bratku nie pomoże.

— Chciałem rzucić kilka tysięcy na wystawienie Ryszarda trzeciego. Ta postać to moja manja. Jestem tak bogaty, że wolno mi być dziwakiem, ale wasze wczorajsze spojrzenia, wasze drwinki, wasza tajona radość z tego świetnego kawału, który tu miał się narodzić, zmieniły mój plan. *Ja* postanowiłem zabawić się waszym kosztem, i, jak widzicie, świetnie mi się udało. Żegnam was, panowie artyści.

Zniknął.

Nastąpiła pewnego rodzaju konsternacja. Najbardziej zdenerwowany był dyrektor.

— Otóż to są, panowie, skutki waszych kawałów! Taka świetna sposobność i wszystko djabli wzięli.

— E, proszę dyrektora! Przecież biliśmy mu brawo zawzięcie, mógł więc nam darować.

Na trzeci dzień, Król Ryszard zjawił się w mojem mieszkaniu. Pod pachą trzymał wyciąg fortepianowy jakiejś opery. Poznałem po okładce wydanie Ricordiego.

Właśnie studjowałem Jontka w Halce, w której miałem się ukazać za tydzień. Tak, tak, różne bywały skandale w owe czasy w teatrze łódzkim.

— Pan się dziwi — rzekł przybysz. To bardzo proste. Dzięki mojej ułomności, jestem podejrzliwy, ale i przenikliwy. Widzę wszystko, nie patrząc. Otóż widziałem, że pan nie brał udziału w tej zabawie, kiedy poraz pierwszy zjawiłem się w kancelarji dyrektora. Mam do pana zaufanie. Wiem,

że pan jest muzykalny. Chciałem, żeby pan przeszedł ze mną partję. Mam zamiar wystąpić w operze.

— Niech się pan uspokoi. Wybrałem Rigolettę. Jest to przecież jedyna opera, w której mogę się ukazać, nie budząc wesołości — dodał z gorzkim uśmiechem. A czy mam głos, to pan osądzi.

Podał mi partycję.

— Śpiewać będę po włosku. Włochy — to moja druga ojczyzna. Spędziłem tam wiele lat. Nie wiem, ile pan bierze za lekcję, ale zostawię panu zaliczkę.

Położył sto rubli.

Dawno takiej sumy nie widziałem. Z ławo zrozumiałem wzruszeniem zagrałem kilka taktów wstępu.

Mój nieznajomy po raz drugi wprowadził mnie w zachwyt nieopisany. Głos jego brzmiał jak dzwon. Frazował jak skończony artysta.

— Czegóż ja mam pana uczyć? — rzekłem po długiej chwili milczenia. Przecież to byłoby śmieszne.

— Jestem dziwakiem. Nie lubię zawodowych akompaniatorów. Każdy uważa za swój obowiązek pouczyć, jak to śpiewał ten wielki, lub tamten słynny. Jadę dziś do Warszawy. Grają Rigoletta. Śpiewa Kaszman. To mój serdeczny przyjaciel. Ciągłe mnie namawia, żebym nareszcie wystąpił.

— Ależ naturalnie. Pan oczaruje najwybredniejszą publiczność.

— Oczaruję, — powtórzył głucho. Więc panu się podobało? To dobrze. Przyjdę we czwartek.

Wyszedł.

— A cóż za jakiś fenomem — pomyślałem sobie. Gdyby nie był tak bogaty, byłby już napewno sławny.

We czwartek zjawił się, bardzo poważny i bardzo smutny, bez partycji.

— Przyszedłem pana pożegnać.

— Pożegnać?

— Tak, jadę do Włoch.

— Ach, tam pan chce wystąpić?

— Nie. Z tem skończyłem. To nie dla takich jak ja...

— Ale dlaczego?

— Byłem wczoraj po przedstawieniu w garderobie u Kaszmana. Miał duże powodzenie, jak zwykle zresztą. Wszedł do garderoby rozpromieniony. Przywitał się serdecznie. Zrzucił kostjum, zdjął garb i rzekł z humorem. „No, znowu jestem prosty. Znowu jestem sobą. Pójdziemy razem na kolację“. Wymknąłem mu się. Wróciłem sam do siebie. Siedziałem na fotelu jak Stańczyk Matejki i rozmyślałem. Nie będę już udawał artysty. Po przedstawieniu nie mógłbym zdjąć mojego garbu. Musiałbym iść z nim do domu. Poza teatrem zostałbym na wieki Rigolettem. Nie chcę tego. Lepiej niech mnie nikt nie zna.

NIEŚMIAŁY AUTOR.

Przyjechaliśmy do Warszawy z teatrem łódzkim, ażeby olśnić publiczność Szekspirem. Mieliśmy grać „Komedję Omyłek“.

Marceli Trapszo, ówczesny reżyser, wystawił sztukę świetnie, ale dyrekcji przybyło... mnóstwo niezapłaconych rachunków za płótno do dekoracji, za materiały na kostjumy, za drzewo do przystawek.

Aktorzy dawno nie widzieli gotówki. Król-kredyt rządził niepodzielnie i wyzykiwał swoich poddanych. Ale nadzieja na powodzenie Szekspira była wielka. Wszyscy czekali cierpliwie, tylko „mądrość narodów“ śmiała się w kułak z naiwnych aktorów i szeptała od czasu do czasu „Spes mater stultorum“.

Premjera się odbyła.

Krytyka podniosła wszystkie zalety gry i wystawy i nakazała surowo publiczności codziennie zapępiać widownię po brzegi. Ale publiczność chciała być samodzielna. Wy sobie chwalcie, a my nie pójdziemy.

Publiczność postawiła na swoim.

Na trzecim przedstawieniu już zabrakło na tak zwane kosztyienne. Król-kredyt powiększył liczbę poddanych.

Dyrektor w połowie pierwszego aktu w rytm „Czatów“ Mickiewicza:

„Wbiegł do loży z wściekłością i trwogą.
Odchyliwszy zasłony

Spojrzał mocno wzburzony

Spojrzał, zadrżał, nie było nikogo“.

Nie tracąc animuszu, jak przystało na autora „Towarzysza pancernego“, odbył konferencję z reżyserem.

— Za tydzień dajemy Bergeraca. Zobaczymy, czy i na to nie przyjdą.

— Zobaczymy — odparł z westchnieniem Trapszo. Ale kiedy my wogóle jakąś gażę zobaczymy?

— To jest zupełnie inna kwestja — odparł zdenerwowany dyrektor. Że też wy, aktorzy, zawsze musicie mieszać pojęcia.

Do kancelarji wszedł bardzo słuszny młodzieniec i bardzo nieśmiały.

— Czego pan sobie życzy?

— Tydzień temu złożyłem sztukę.

— Czy była gdzie grana?

— Do tej pory, nie.

— Więc, jakże pan chce, żebyśmy grali sztukę, która nigdzie nie była grana?

Skoro jej nikt nie chciał grać, widocznie nie jest dobra. Dlaczego ja mam być tym kozłem ofiarnym?

Było to bardzo logiczne.

— Panie dyrektorze... To jest moja pierwsza sztuka... Nikt jeszcze jej nie czytał. Przynoszę ją do pana, jako do głębokiego znawcy i autora.

— Niech pan zostawi i przyjdzie jutro.

Wyszedł.

— Jeszcze nam tylko tego zamieszają brakowało. Mało mamy kłopotów — rzekł dyrektor po odejściu autora.

Zwrócił się do reżysera:

— Może pan przeczyta?

— Dobrze, jeżeli znajdzie trochę czasu.

Obejrzał egzemplarz, rzucił okiem na ostatnią stronicę: „Numa wychodzi za Pompiljusza“ — mruknął.

Do kancelarji wpadł woźny:

— Panie dyrektorze, dwie osoby są przy kasie.

— Nie może być!

Dyrektor wyleciał razem z woźnym.

Reżyser oddał egzemplarz sekretarzowi.

— Niech pan to przeczyta, bo ja nie mam czasu. Studjuję Bergeraca.

— Wyszedł.

Sekretarz, nie spojrzawszy nawet na tytuł, położył egzemplarz na półce.

Na drugi dzień autor się zjawił.

— Pan dyrektor wyjechał z Warszawy — rzekł poważnie woźny. Wróci we środę.

— Przepraszam — rzekł nieśmiało autor i wyszedł.

W środę dyrektor schował się do szafy.

We czwartek kazał powiedzieć, że jest chory.

W piątek, że ma posiedzenie.

Niezrażony autor przychodził codziennie i trwałaby ta zabawa w kotka i myszkę do końca sezonu, gdyby nie okólnik.

Ręcę, że nikt z państwa nie wie, co to jest okólnik.

Skąd się ta nazwa wzięła, — kto ją wymyślił, — nie wiem. Nie biorę tego na swoją odpowiedzialność. Okólnik w dawnych teatrach prowincjonalnych, to był taki młody człowiek, który zamawiał próby, przynosił zaliczki, i zawsze był dobrze poinformowany o tajemnicach sercowych wszystkich artystów.

Piątego dnia okólnik rzekł:

— Panie dyrektorze. To jest fajna sztuka. Ja ją czytałem.

— Co? Powiadasz, że dobra?

— Tak, panie dyrektorze. Ona jest trochę na smutno, a trochę na wesoło, ale powodzenie będzie.

Znów wszedł autor bardzo nieśmiało i prosto oniemiał z zadziwienia, że zastał dyrektora w kancelarji.

— Jutro napewno damy panu odpowiedź — rzekł poważnie dyrektor. Mój kierownik literacki już czytał. Podobała mu się.

— A więc mogę mieć nadzieję?

— Tak panie, do jutra.

Autor wyszedł rozpromieniony.

— Słuchaj — zawołał dyrektor, do okólnika. Jeżeli to sztuczdyło jest nic nie warte, to ty się będziesz rozprawiał z autorem.

— Dyrektorze, pewniak. Jak cnotę szanuję i nie trzeba nic sprawiać. Jeden pokój i po krzyku.

— Niech pójdzie chociaż dziesięć razy. Będziemy mieli czas na wystawienie Bergeraca, — rzekł, westchnąwszy, reżyser. Ja zaraz sztukę przeczytam.

W tydzień premjera ukazała się na scenie.

Krytyka nie przyjęła sztuki entuzjastycznie. Wykazała wszystkie błędy, nie mó-

wiąc nic o zaletach i zabroniła publiczności surowo chodzić na utwór, nie przedstawiający żadnej wartości literackiej. Ale publiczność i tym razem okazała swoją samodzielność.

— A właśnie, że pójdziemy. Nie damy się wodzić na pasku.

Rozpoczęły się komplety, które trwały trzy miesiące. Dyrektor zapłacił wszystkie długi. My otrzymaliśmy gaże. O Bergeracu nikt już nie myślał. A okólnik, który zawsze wie wszystko, przysięgał się na wszystkie świętości, że i autor coś dostał.

Sztuka miała tytuł: „Popychadło“.

Nieśmiałym autorem był Jan Szutkiewicz.

Tytułową rolę odtwarzała po mistrzowsku rozpoczynająca karierę artystyczną, a dziś wielka gwiazda na firmamencie sztuki — Marja Przybyłko-Potocka.

UKOCHAJ PRACĘ MĘŻA.

Ukochaj pracę męża, staraj się zrozumieć go i dziel jego upodobania, staniesz się jego towarzyszką i przyjaciółką najdroższą. Jeżeli jesteś obojętną dla jego zatrudnień, zrywasz duchowy związek, łączący was i wyzbywasz się wpływu na niego.

Tak pisze Mimoza w poczytnym tygodniku „Kobieta w świecie i domu“.

Pani Idalja przeczytała te słowa z wielkiem wzruszeniem, a właśnie serce jej spełnione było smutkiem. Już dwa dni, jak kupiła sobie kapelusik, śliczny kapelusik, model paryski, i nie było jeszcze sposobności, aby go zaprezentować w liczniejszym towarzystwie, ale przeczytawszy podniosłe słowa Mimozy, z cichem westchnieniem schowała kapelusz do szafy i postanowiła

wszystko złożyć na ołtarzu poświęcenia dla swego małżonka. Wszystko, nawet ostatni model paryski, w postaci kapelusza, w którym jej było tak do twarzy.

Tak, to prawda, pani Mimoza ma zupełną słuszość. Kochająca żona powinna zainteresować się pracą męża, powinna dzielić jego upodobania, święte słowa. O teraz będzie inaczej.

Pan domu właśnie wrócił trochę zmęczony z biura.

— Idalciu, obiad, bo umieram z głodu.

— Siadaj, mój drogi, siadaj, zaraz będzie.

— Najbardziej nie lubię tego zaraz, bo to zaraz, jest zawsze bardzo problematyczne.

— To nic, zabawię cię rozmową. Cóż tam w biurze? Dużo miałeś pracy? — zapytała z głęboką troską pani Idalja.

— W biurze, jak w biurze, moja droga, ciągle jedno i to samo.

— Tak, tak, to znaczy, że pracy dużo.

Przysunęła się bliżej.

— Powiedz mi, mój drogi, jak przycho-

dzisz do biura, co jest twoją pierwszą czynnością?

— Pierwszą czynnością?... Aha, przede wszystkim zapalam papierosa.

— Więc ty tak lubisz papierosy?

— Chyba wiesz o tem dobrze.

— Nie zastanawiałam się do tej pory, ale od jutra zaczynam także palić.

— A to po co?

— Widzisz, muszę dzielić twoje upodobania.

— Dzielić upodobania? Wiesz, to nie zawsze jest możliwe. Ja na przykład szalenie lubię brunetki, a ty pewno wolisz blondynów.

— Nie żartuj.

— Najlepiej każ dać obiad i będziemy ślicznie dzielić upodobania przy zupie.

— Zaraz, zaraz, tylko powiedz mi, jak już wypalisz tego papierosa, to co robisz w biurze? Bardzo mnie to interesuje.

— Jak tylko wypalę papierosa, zaraz piję herbatę.

— No dobrze, ale ja chcę wiedzieć coś o twojej pracy. Naprzykład dzisiaj, wypileś herbatę, i co?...

— Jeszcze nie zdążyłem wypić, a już miałem telefon.

— Ach telefon, bardzo zajmujące. W jakiej sprawie, jestem ciekawa?

— Gustaw telefonował, czy przyjdę dziś na bridgea.

— Ten Gustaw, to idjota.

— O przepraszam, bardzo miły człowiek.

— Dobrze... dobrze, ale co ty wolisz, czy naprzykład przyjmować telefony, czy podpisywać papiery? Strasznie mnie to interesuje.

— Ja wolalbym narazie zjeść obiad.

— Zaraz będzie, przecież to ważniejsze. Ja muszę wiedzieć, co ty tam robisz. Ja chcę poznać twoją pracę.

— Co tobie jest, Idalcu?

— Jakto, co mi jest?

— Chciałbym wiedzieć, co znaczą te dziwne pytania.

— Mój drogi, błagam cię, nie myśl, że jestem egoistką, o nie. — Spojrzała ze smutkiem na szafę, gdzie był schowany kape-lusz.

— Pragnę, ażebyś podzielił ze mną te wrażenia, jakie ty odbierasz w biurze.

— Ja nie mam żadnych wrażeń.

— Ach Boże, to moja wina. Teraz widzę, jak źle postępowałam, ale ty jesteś szlachetny i przebaczysz mi. Nawet się porozumieć nie możemy, a ja chcę, żeby dusze nasze miały wspólne myśli, wspólne cele. Ja nie chcę zrywać duchowego związku, który powinien nas łączyć.

Pan domu spojrzał na swoją żonę, zaniepokojony.

— Moja droga Idalcu, powiedz mi, kto tu był?

— Jakto?

— Kto tu był dziś u nas?

— Nie było nikogo.

— Nikogo? Nic nie rozumiem. To może ty masz gorączkę?

— Bądź spokojny, nic mi nie jest. I pro-

sze cię, powiedz mi, co było po telefonie od Gustawa.

— Po telefonie od Gustawa? Czekał, czekał. Aha. Był drugi telefon.

— Tak? Od kogo?

— Od... tego... Jakże go tam?... E, do licha, nie pamiętam. I wogóle, co znaczą te indagacje. A może ty dostała jakiś anonim?

— Ależ mój drogi.... Czy to takie dziwne, że żona interesuje się pracą męża. No, powiedz, co potem było?

— Potem? potem, obliczyliśmy z sekretarzem, że gdyby stawiać na same fuksy w totalizatora, majątek pewny.

— Widzę, że nie masz do mnie zaufania, mój drogi. To źle.

— Moja Idalcu, to poprostu zakrawa na drwiny.

— Co?

— To wszystko razem. Powiedz do diabła, czego chcesz?

— Do diabła? Jak ty się wyrażasz?

— Bo już mam tego dosyć. Jestem zmę-

czony i głodny, a ty się uwzięłaś na mnie z jakimiś głupimi pytaniami. Jeżeli ci nagadali plotek, najlepiej mów prosto z mostu bez tych wstępów.

W tej chwili wszedł tak zwany „tłomok“ i oznajmił, że kotlety z długiego czekania wysuszyły się na drewno.

— Ładna historja. To czemużecie wcześniej nie podały — krzyknął pan domu zirytowany.

— Bo pani nie kazała podawać, aż zadzwoni.

— Więc co będzie?

— Ja nie wiem.

— A żeby to wszyscy djabli wzięli. No, niema co. Trzeba zjeść obiad w restauracji. Idalcu, ubieraj się.

— Jakto? i ja mam pójść z tobą?

— A to dobre. Przecież ci nie dam jeść wysuszonych kotletów.

— Ach, jakiś ty dobry. Świetnie się złożyło. Będę mogła nareszcie pokazać mój nowy kapelusz. Ale przy obiedzie musisz mi opowiedzieć coś o swojej pracy.

PANI BELLA JEST CHORA.

Piękna pani Bella upozowana na stylowej kozetce, jak niegdyś słynna pani Re-
camier, wyciąga białą dłoń do wchodzącego doktora.

— Ach, kochany doktorze, dobrze, że jesteś, ratuj, błagam cię... Żle ze mną, bardzo źle.

Piękna pani Bella przemienia się w złąmaną lilję i rzuca bolesne spojrzenie na doktora.

Doktor z udaną troskliwością zbliża się do pięknej pani.

— Zaraz... zaraz... Niech się pani uspokoi.

— Siadaj, doktorze.

Posłuszny doktor siada.

— Więc cóż pani dolega — rzecze,

szukając pulsu. — Proszę powiedzieć mi wszystko.

— Właśnie... właśnie, wszystko powiem. Otóż trzy miesiące temu zostałam bez służącej. Z moimi nerwami może sobie doktor wyobrazić.

— Wyobrażam sobie.

— Telefonowałam do kantoru, ach te kantory!... Przysłali mi po tygodniu służącą, była wcale niezła. Bardzo dystyngowana i bardzo uczciwa...

— Przepraszam panią...

— Ale cóż pokazało się, że strasznie kradła.

— Co pani mówi, uczciwa i kradła? A czy termometr mógłbym zobaczyć?

— Wyrzuciłam naturalnie bez namysłu.

— Wyrzuciła pani termometr?

— Skądże? — Służącą...

— Aha. No to pozwoli pani, że ja zbadać puls...

— Zaraz... zaraz... Powiedziałam sobie z kantorami trzeba dać spokój i postarać się o służącą przez znajomości.

— No tak, mam znajomości, ale poważnie w sferach muzycznych, a trudno, żebym się pytała Fitelberga, albo Stermicha, czy nie słyszał o jakiej kucharce.

— Naturalnie. A możeby pani pokazała mi języczek?

— Zaraz... zaraz. Wszystko panu pokażę, tylko niech skończę.

— Bo ja mam jeszcze kilka wizyt..

— Nie bądź nudny, doktorze. Otóż moja praczka przysłała mi dziewczynę z dobrymi świadectwami, myślałam więc, że już skończyła się moja męka, tymczasem wczoraj wchodzę do kuchni, a ona sobie mojem żelazkiem onduluje włosy. Wpadłam w pasję, co mi się nigdy nie zdarza, ale rozumiem doktor, że są okoliczności, kiedy kobieta musi wpaść w pasję. Wyrwałam jej żelazko i powiedziałam, że tłomoki się nie ondulują, ona mi coś odpowiedziała... ja jej także... i zrobiła się straszna awantura. Z rozpaczy, naturalnie, potłukłam wszystkie garnki i talerze. Czy doktor wie, co ona na to?

— Nie, nie wiem.

— Najbezczelniej w świecie wrzeszczała: niech pani tłucze, to nie moje... Jest pani histeryczka i nic więcej. Do mnie powiedziałła histeryczka... Czy doktor słyszy?

— Słyszę, ale...

— Precz, zawołałam, wynoś się w tej chwili... A ona na to: „proszę mi zapłacić, to sobie pójdę“... Grosza nie dostaniesz, tłomoku, odpowiedziałam... potłukłam resztę talerzy i przyszłam tu do pokoju, żeby za-telefonować po doktora. Niech doktor ratuje...

— Zaraz... zaraz... Przedewszystkiem puls, bo bez pulsu nie mogę postawić diagnozy.

— Okropny jesteś, doktorze. Tym swoim pulsem doprowadzasz mnie do szału.

Drzwi się otworzyły, na progu stanął szczęśliwy małżonek. Piękna pani Bella rzuciła mu mdlejące spojrzenie.

— Chodź... chodź, mogłabym sto razy umrzeć nim ty przyjdiesz. Patrz, do cze-

go mnie ten garkotłuk doprowadził. Doktor nie może sobie dać ze mną rady.

— Uspokój się, już jej nie ma.

— Co poszła?

— Naturalnie. Zapłaciłem jej za miesiąc, żeby tylko był spokój.

Piękna pani Bella skoczyła jak pantera.

— Co? Ty jej zapłaciłeś?... Ty bałwanie... ty stary niedołęgo... ty marmolado. Tyle talerzy natłuczonych, a on jej płaci...

— Dobrze, ale to przecież tysiąc tłuścioł, a nie ona...

— Precz... Precz... Nie pokazuj mi się na oczy. Własny mąż mnie zabija. A cóż to za potwór. Doktorze, ratuj... masz rękę, badaj puls...

Doktor wstał i kierując kroki ku wyjściu, rzekł poważnie:

— Nie potrzeba. Bardzo trafną diagnozę postawiła już pani kucharka.

— Jaką diagnozę?

— Powiedziała, że pani jest histeryczką, a ja hysterji nie leczę. To już należy do męża pani. Żegnam.

Doktor wyszedł.

Pani Recamier zamieniła się w Gorgonę.

— Co? Słyszałeś? Pierwszy lepszy cyrulik mnie obraża, a ty nic? Leć zaraz po drugiego doktora, słyszysz? Prędszej, bo ja umrę.

— Dobrze, dobrze, leć.

ŚWIETNY INTERES.

Pan Izydor i panna Salusia siedzieli na małej kanapce, pogrążeni w niemej kontemplacji. Milczenie przerwał pan Izydor.

— Czy też kto przyjdzie?

— Co niema przyjść — odpowiedziała panna Salusia. — Każdy się dziś łakomi na zarobek.

Mocne pukanie do drzwi było odpowiedzią.

— Uj, pani ma rację, panno Salusiu. Już ktoś idzie.

Na progu ukazał się gruby, złoty łańcuch i jego właściciel z mocno czerwonym nosem.

— Pan zdaje się, ogłosił, że poszukuje wspólnika do interesu?

Twarz nie zdradzała inteligencji.

— Tak, ja ogłaszałem — odpowiedział z ukłonem pan Izydor.

— Cóż to za interes? — Jeżeli dobry, mozę należeć do spółki.

— Czy dobry? — uśmiechnął się pan Izydor. — To jest złoto, nie interes, to są brylanty.

— Więc cóż to ma być? — zapytał kapitalista.

— To wcale niema być, to już jest. Tylko ja nie każdemu chcę powiedzieć. Proszę, niech pan siada. To sekret, wielki sekret. Ale ja panu powiem. Bo ja odrazu widzę, z kim mam do czynienia.

Kapitalista oparł rękę na stole, aby pokazać swoje błyszczące pierścionki. — Gadj pan — mruknął niedźwiedziowato.

— To jest takie małe wytwórnie filmowe. Takie małe, ale ono może dać duże miliony.

— Ho, ho, aż miliony.

— Tak jest, miliony — ciągnął dalej pan Izydor. Ja zbadałem, co to jest powodzenie filmowe. Ja znam te tajemnice. Ja panu po-

wiem. Te tajemnice, to jest temat. Jak jest tematu dobrego, to jest powodzenie. Jak niema tematu, to niema powodzenia. Ja właśnie teraz zebrałem same przebojowe tematy, same najlepsze. Same rarytasy. Te tematy, to ja daję. To jest moja połowa kapitału do interesu.

— Jakto? — obruszył się kapitalista. — Gotówki żadnej pan nie daje?

— Co pan zrobi z gotówką — odparł żywo pan Izydor — jeżeli pan nie ma temat. Temat to jest wszystko. A oprócz tego, to ja dodaję a part, zupełnie darmo, pierwszorzędną artystkę filmową, która jeszcze nigdy nie grała. To jest taka dziewczyna sztuki. Jej jeszcze nigdy żaden reżyser nie dotknął. To będzie prawdziwe atrakcje. Panno Salusiu, niech pani pozwoli. To właśnie nasz przyszyły wspólnik.

Panna Salusia z czarującym uśmiechem zbliżyła się do kapitalisty.

— Dzień dobry — rzekła. — Jakie pan ma ciekawe czy.

— Właśnie — odparł właściciel złotego

łańcucha i błyszczących pierścionków. — Jestem ciekawy tych tematów.

— Ach, tematy są boskie — rzekła, unosząc się panna Salusia. Opowiedz pan, panie Izydor.

Pan Izydor nerwowym głosem zaczął.

— Naprzykład temat egzotyczny. Pierwsza część w Egipcie, z faraonami.

— Ja będę grała faraonównę — przerwała panna Salusia.

— Tak, pani będzie grała faraonównę — ciągnął dalej pan Izydor. — Z faraonami przejściem żydów przez Czerwone morze. Z manną, sypiącą się z nieba. Ze złotym cielcem, z widmem Napoleona przed piramidami. Druga część w Londynie — z koleją podziemną, teatrami, kabaretami, ogrodem windsorskim i katastrofą samochodową.

Twarz kapitalisty nie zdradzała zainteresowania.

— Albo — mówił dalej pan Izydor — temat fantastyczny. Dziewica o dwóch gło-

wach, mieszka w puszczy afrykańskiej, razem z niedźwiedziami.

— Ja będę grała tę dziewczę — zawołała panna Salusia.

— Tak, pani będzie grała tę dziewczę — powtórzył pan Izydor. — Oficer naszej marynarki, rzuca bombę. Odrywa dziewczę jedną głowę, przez co ona przestaje być potworem i robi się aniołowo piękna. Oficer żeni się z tą dziewczyną na okręcie. Jego przyjaciel, czarny charakter, rywal, chce okręt zatopić, ale wierne niedźwiedzie go zaduszają.

Kapitalista nie drgnął.

Silnie zdenerwowany pan Izydor ciągnął dalej: — Albo może temat wersalski. Ludwik, wszystko jedno który, pan sobie sam wybierze, jedzie na polowanie. W kraju wybucha rewolucja ze wszystkimi efektami. Z Bastylją, gilotyną, z łóżkiem pani Dubary i Maratem w kąpieli.

— Ja będę grała panią Dubary.

— Tak, tak, pani będzie grała. Albo temat retrospektywny. Parys zakochany

w Helenie, wojna trojańska z dzikim, drewnianym koniem, wypchanym spartakowcami. Albo temat morski: rozbitek buduje sobie dom na małej wysepce, a ta wysepka, to jest duży wieloryb śpiący. Wieloryb się budzi i płynie z rozbitkiem przez morze, z cudnymi widokami krabów, żywych śledzi i homarów. Przepływający okręt zabiera rozbitka, wieloryba wyciągają na okręt, pompują z niego tran, rozbitek staje się milionerem i żeni się z córką kapitana. Ewentualnie, wybucha bunt marynarzy, bohater ocala córkę kapitana i żeni się z nią. Albo córka kapitana ocala rozbitka...

— Panie, przestań pan — ryknął kapitalista.

— Więc jak — zapytał pan Izydor.

— Tutaj jeszcze jednej rzeczy brakuje.

— Co brakuje? Nic nie brakuje, to jest świetny interes.

— Brakuje jeszcze warjata z pieniędzmi. Ja pieniądze mam, ale warjatem nie jestem. Żegnam państwa.

MISS POLONIA I MISS EUROPA.

Część I.

MISS EUROPA.

Góra z górą się nie zejdzie, ale sąsiad z sąsiadem zawsze. Nic więc dziwnego, że pan Puternicki spotkał się z panem Fiutkiewiczem w handelku.

— No i co radca powiesz na ten skandal — zagadnął pan Puternicki.

— Z tym podatkiem mieszkaniowym?

— To swoją drogą! Ale ja na razie mówię o tej miss Polonji.

— Ano słomiany ogień, jak to u nas zwykłe.

— Zawrócili biednej dziewczynie gitarę, wozili sleepingami zagranicę, a co dalej?

— Cóż ma być dalej? Zobaczyła Paryż, rozerwała się, poznała tamtejsze stosunki, zwiedzała teatry, to źle?

— E, ja sąsiadowi powiem, że to nie był szczęśliwy pomysł. Jeśli już chcieli imponować, powinni byli posłać moją Cesię. To panie jest typ prawdziwej Polki! krew z mlekiem! Nie dlatego mówię, że jestem jej ojcem.

— Dajże sąsiad pokój. Panna Cesia jest sobie niczego, ale nosek ma zadarty. Poza tem, krępa, mała.

— A pan by chciał, żeby była jak wieża ratuszowa?

— Nie jak wieża ratuszowa, ale i nie jak bania karmelicka.

— Cóż to za gadanie?

— Co za gadanie? Kobieta piękna musi mieć linję.

— Jaką u djabła linję?

— No figurę, jeżeli pan woli.

— Moja Cesia nie ma figury? A czy pan wiesz, że Słowikowski, co ma dwie kamie-

nice, chciał się z nią żenić? A Zajączkowski obiecywał, że się z miłości otruje.

— To zupełnie inna para rękawiczek. Cóż to ma do figury?

— Gdyby nie była piękną, to by na nią nie lecieli.

— Radca nie rozumie. Może być sobie miła dziewczyna z wabikiem, ale nie na konkurs.

— Niby dlaczego?

— Bo na konkurs musi być wszystko, jak się patrzy, eff eff pierwsza klasa. Nie można mieć w jednym miejscu za dużo, a w drugim zamało.

— A w jakimże to miejscu ona ma za dużo, chciałbym wiedzieć?

— Ja panu nie powiem, bo toby nas za daleko zaprowadziło.

— Także opowiadanie. Dziewczyna, jak rzepa.

— Właśnie, za dużo tej rzepy. Jak będzie wystawa ogrodowizny, to pan może swoją Cesię posłać, lecz nie na konkurs piękności.

— Patrzcie państwo.

— A tak, niema się o co gniewać. Jeśli chodzi o prawdziwy typ nieskazitelnej piękności, to tylko moja żona kwalifikowała się na miss Polonię.

— Aha, tu cię boli!

— Tak, panie! Nie dlatego, że to moja żona...

— Nie dlatego, naturalnie!

— Wysoka, majestatyczna, kiedy idzie przez ulicę, ludzie dębieją.

— Dajże pan pokój, bo pękne ze śmiechu.

— Niby dlaczego?

— Przecież pańska żona wygląda, jak wygłodzona żyrafa. Nos długi, brwi, jak szczotki. Ręczę, że sędziowie na jej widok pouciekaliby ze strachu.

— Czy pan sobie za dużo nie pozwala?

— Niema się o co gniewać? Może pan posłać swoją żonę, jak będzie u Baryczków wystawa antyków, ale nie na żaden konkurs piękności.

— A pan swoją Cesię na wystawę inwen-

tarza... W sam raz dziewczucha do dojenia krów.

— Zato pańska gidja jest wzorem piękności! Trzeba być kretynem, żeby tego nie widzieć.

— Trzeba być idjotą, żeby wysłać beczkę na konkurs piękności! Kelner płacić!

— Kelner, płacić!

— Bałwan!

— Cymbał!

Sąsiedzi rozeszli się bardzo zdenerwowani.

Część II.

MISS POLONIA.

Właściciel atelier fotograficznego na Woli, przechadzał się dużymi krokami po *pokoju*, zdradzając silny *niepokój*. Wycze kiwał klientów. Nareszcie rozległ się upragniony dzwonek.

Wszedł pan Kostek w czerwonym szaliku i panna Mania w modnej apaszcze na szyi. Pan Kostek przywitał fotografa.

— Dzień dobry. Czy sam pan *atelier* fotograficzny?

— Do usług — odrzekł mistrz.

— To właśnie, proszę pana *anteliara*, moja narzeczona — tryumfująco zawołał pan Kostek, przedstawiając pannę Manię.

— Rozumiem. Więc zapewne gabinetowa, przedślubna?

— Tylko nie gabinetowa. Uczciwa panna jestem. Po gabinetach się nie włączę. A przed ślubem nic z tego nie będzie.

— Ale ja mówię o fotografii.

— No właśnie — wtrącił Kostek. — Bo ja chcę pannę Manię wyrychtować na tę miss Europę do Paryża. Co to, panie, za porządki, żeby jakaś greczynka brała nagrodę! Co jest?

— Zdaje mi się, rzekł nieśmiało fotograf — że konkurs piękności już się odbył.

— No to co? Ale mojej Mańki nie widzieli. A jak zobaczą, to zaczną na nowo. Tylko niech się pan do niej ostro weźmie.

— Panie Kostek, cóż to znowu ma być? — zawołała panna Mania.

— Co ma być. Nic niema być, tylko, żeby fotografia dobrze wyszła.

— Jak pan sobie życzy? Profil, czy en-face, czy en trois cartes?

— E, profiela nie. To już lepiej ta trója z kart. Bo my czasem gramy w zechcyka.

Panie fotograf, niechno pan zajrzy w tę gębę. — To mówiąc, zbliżył się do panny Mani, która wyszczerzyła ząbki z uśmiechem.

— Co to za zęby — zawołał z zachwytem. Takich napewno i w Paryżu nie widzieli.

— Ośmielę się zwrócić uwagę — rzekł fotograf — że oczy, jakkolwiek piękne, ale mogą być przeszkodą. Gdyż jedno, jak to mówią, patrzy na Nową Wieś, a drugie na Krowodrzę.

— Panie fotograf, tylko bez dowcipów. O krowach to pan sobie może ze swoją ciocią pogadać.

Kostek przerwał dysputę.

— Panie fotograf! A widział pan te włosy! Tego żaden grzebień nie chyci. Z tych loków możnaby dwa materace zrobić, i jeszczeby na poduszkę dla Filusia zostało. Panie, a te plecy, co? murowane.

— Cóż pan Kostek mnie tak zachwala, jak cygan konia na jarmarku.

— Pan *antelier* musi wiedzieć, co i jak, żeby dobrze wyszło.

— Ja myślę, że najlepiej zrobimy tylko sam biust — rzekł pan fotograf.

— Pan zwarjował? Sam biust, bez głowy? Europa bez głowy. To nie idzie, chociaż biuścik, jak żelazo-beton.

— Nie, nie, owszem z głową, tak do połowy.

— A idźże osoba. Dlaczego do połowy? kiedy ja płacę za całą. A nogi to pies?

Spójrz pan na te nogi. Z jednej możnaby dziesięć takich patyków zrobić, co to niby terazniejszym pannom pedały zastępują. To się przecież musi w Paryżu pokazać. Niech wiedzą, że my tu na mocnych nogach stoimy.

— Więc jaką pozę wybieramy?

— Jabym chciała z wachlarzem.

— Dziś wachlarze nie modne.

— To z kwiatami.

— Tak, tak — zawołał pan Kostek — z kwiatami. Klawo! Najlepiej z lejlą w ręku.

— Dobrze, niech pani się oprze o ten filar.

— Morowo! — wołał pan Kostek ucieszony. Tylko niech pan dobrze kręci, bo jakbyśmy nie dostali nagrody, to ten cały pański interes w drobne kawałki rozwalę.

SALON MĘSKI.

Zniknęły dawne sympatyczne, skromnie umeblowane „razury“, gdzie za dziesięć groszy można się było ogolić, wysłuchać kilka politycznych anegdotek z carskiego regimu, a w razie niedyspozycji, zamówić bańki albo pijawki u pana pryncypała.

Dziś każdy szanujący się fryzjer byłby dotknięty samą propozycją stawiania pijawek.

Pryncypał jest wykwintnie ubrany, zgrywa się w totalizatora, z gośćmi rozmawia tylko o polityce i o teatrze. Zamiast pijawek, aplikuje się szanownej klienteli kosmetyki higieniczne wszelkiego rodzaju.

Perfumerja jest integralną częścią tak zwanego salonu i każdy golący, czeszący i fryzujący, ma sobie za obowiązek „wkle-

pania gościowi jakiegoś zadziwiającego w skutkach środka przeciwko różnym dolegliwościom rodu męskiego.

Każdy gość jest albo dyrektorem, albo redaktorem, a w ostateczności radcą. Nie dalej, jak wczoraj, miałem sposobność wysłuchania w jednym z najmodniejszych etablissement des coiffeurs następującego dialogu.

— Moje uszanowanie panu radcy dobrodziejowi.

— A dzień dobry. Proszę mnie ogolić raz dwa trzy, bo się śpieszę na pociąg.

— Służę panu radcy. Józiek, rękownik, mydło. Pan radca dobrodziej dawno u nas nie był.

— Tak się jakoś składało, nie mieszkam w tych stronach.

— Szkoda, taki klient...

— Niech no pan goli, bo mi się śpieszy.

— Słucham pana radcy. Wszyscy obywatele u nas bywają.

— To chyba naturalne, skoro każdy z nas jest obywatelem.

— Ja chciałem powiedzieć, że wszyscy właściciele majątków.

— Aj panie... pan mi mydło w gębę pakuje.

— Prawdziwe angielskie, panie radco, tylko u nas do nabycia. Szef sprowadza aeroplanem z Wiednia.

— Dobrze, dobrze, ale ja mydła nie jadam.

— Pan radca daruje, że się ośmielam zwrócić uwagę, ale włoski się przerzedziły... Mam znakomitą wodę na porost.

— Znamy się na tych porostach.

— Dziesięć złotych flaszka, wystarczy na tydzień.

— Nie używam.

— A to źle... Takie śliczne włosy i już ich niema.

— Śpiesz się pan, bo się spóźnię na pociąg.

— Słucham pana radcy, już kończę. A może służyć brylantyną, prawdziwa francuska, konserwuje cebulki i nadaje zapach włosom.

— Panie i bez pańskiej brylantyny już wszystkie baby ode mnie uciekają.

— E... pan radca żartuje.

— Do djabła, drapie pan brzytwą, aż mi zęby cierpną.

— Mamy znakomity eliksir na zęby. Wlewa pan pięć kropel do szklanki...

— Panie, puść pan do djabła mój nos, bo mi już cały zsiniał, jeszcze żona pomyśli, że byłem na jakim śniadanku.

— Zaraz się nosek zapudruje. Puder znakomity, nie możemy nastarczyć sprzedaży. Lekki, pachnący i nadający skórze matową białość. Może służyć szanownemu panu pudelkiem?

— Panie, przestań pan brzęczeć mi nad uchem, prędzej kończ pan, bo się spóźnię na pociąg.

— A czego też pan radca używa na cerę?

— Przeważnie kąpieli.

— To świetnie, mamy wyborny kąpielowy proszek. Wsypuje się do wanny...

— Wierzę panu, że jest wyborny, ale ja

się kąpie w Wiśle, więc nie wystarczyłoby panu tego proszku.

— W Wiśle... na plaży... rozumiem, mogę służyć cudownym kremem do opalania. Ciało nabiera koloru czekolady. Posmarować kremikiem, poleżeć dwie godzinki na słoneczku i będzie szanowny pan wyglądał jak pralinka.

— Aj, do licha, zaciąłeś mnie pan...

— Nic nie szkodzi... bagatelka. zaraz się zatamuje. A może pan dobrodziej sobie kupi bandażyki zapasowe. Sprzedajemy tużinami.

— Nie chcę, prędeż wody kolońskiej.

— Józiek, wody kolońskiej zapakować ładnie dużą flaszkę...

— Jaką flaszkę... Na ręcznik, bo mi krew cieknie.

— Ale co znowu, już zatamowałem. U nas takie rzeczy raz dwa trzy... Zakład pierwszy szorzędny.

— Prędeż palto...

— Józiek, oczyścić gościa... podać kapełusz.

— A gamoniu... bodajżeś z piekła nie wyrzwał. Włazłeś mi na odcisk.

— Co? Szanowny pan ma odciski? To świetnie, sprzedajemy znakomity środek, wprost bajeczny. Pięć złotych pudełeczko już z pędzelkiem.

— Gwałtu, szósta bije, spóźniłem się na pociąg.

— Pan radca wyjeżdża? Domyślam się, pewno szukać letniego mieszkania. Właśnie chciałem zaproponować. Domek w lesie na wzgórzu, cudne położenie nad wodą, w suchym miejscu, blisko kolei.

— Bądź pan zdrow.

SALON DAMSKI.

Salon damski, to wyższa instancja. Mistrze od „ondulacji“ zgóry traktują pracowników salonu męskiego. A nawet i swoich dawnych klientów. Doświadczyłem tego na własnej skórze, tym razem dosłownie.

Skrobał bowiem brzytwą tę moją własną skórę nader sympatyczny i przystojny blondyn z bardzo dobrym rezultatem przez kilka lat. Przychodził co drugi dzień i w ciągu pięciu minut dojrzałego człowieka przeistaczał w młodzieńca. Nagle wszystko się urwało. Zniknął.

Kiedy w kilka dni zagadnąłem go o przyczynę tej rejterady, odrzekł mi z dumą:

— Pan daruje, ale ja teraz pracuję na damskim salonie.

— A, to co innego — odrzekłem. — *Place aux femmes.*

Obecnie pastwi się nad moją brodą niebieskooki pan Stefan. I o ile damy go nie zabiorą, mam nadzieję, że będziemy w długotrwałej przyjaźni. Ale kto wie, co się stać może. *Ce que veut la femme, veut le bon Dieu*, a wtedy kupię sobie chyba z rozpaczny giletkę.

Ale wejdźmy do damskiego salonu.

Właśnie, mistrz Józef, poprosił jedną z pań do sanctuarjum, gdzie odbywa się dekoloryzacja włosów, rozjaśnianie, przyciemnianie, masaż twarzy, ondulacja i mnóstwo innych zabiegów, dzięki którym, nawet najstarsze panie, są wiecznie młode, a najbrzydsze, olśniewają blaskiem piękności.

Ta szczęśliwa dama, która opuszcza gro-
no czekających kolei, staje się automatycznie przedmiotem dalszej rozmowy.

Rozmowa zaczyna się zawsze *dolce espressivo*, potem przechodzi w *allegro giocoso*, a kończy się *furioso molto agitato*.

Posłuchajmy:

— Jakaż to miła osoba.

— Nadzwyczajnie.

— Co za ułożenie.

— Jaki wdzięk.

— Z bardzo dobrej rodziny. Mieli kiedyś duży majątek.

— Dziwna rzecz, że ta czarująca osóbką nie zrujnowała się jeszcze na dobrego dentystę.

— To, pani ma rację. Wszystko sobie psuje tym źle dopasowanym garniturem.

— Tak, to jest dla mnie poprostu niezrozumiałe. Żona bardzo bogatego przemysłowca.

— E, co pani mówi? On już dawno nie ma.

— Jakto? Mieszkają w jedenastu pokojach.

— Tak, dzięki ochronie lokatorów.

— Ależ ta pani przyjechała własnym automobilem.

— Więc co? Czy to mąż musiał kupić ten automobil?

— No tak, to prawda...

Rozmowa się urwała, bo właśnie drugi mistrz, pan Stanisław, wskazał na opróżnione miejsce.

Dama oskarżająca opuściła towarzystwo. Pozostałe hołdowniczki i ofiary mody starały się znowu nawiązać między sobą bliższy kontakt.

— Ona będzie mówić o wprawianych zębach.

— Rzeczywiście, trzeba mieć tupet. Kto, jak kto, ale osoba, która już nic swojego nie ma.

— Tak, oprócz tej szopy na głowie.

— Ale, proszę pani, to peruka.

— A mówiła, że chce włosy utlenić.

— Właśnie, żeby nam oczy zamydlić.

— Ktoby się był spodziewał, takie śliczne loki.

— Może sobie pani sprowadzić z Paryża jeszcze śliczniejsze.

— Poco z Paryża—wtrącił się do rozmowy pan Józef, nie przerywając swej pracy.

Weźmie się miareczkę i zrobi się loczki i będzie szanowna pani wyglądała, jak ten aniołek na choince.

Do salonu weszła dama nieokreślonego wieku, z dużym kokiem, w kapelusiku na czubku głowy i o zgrozo, w długiej sukni.

— Przepraszam, panie szanowny. Jaby chciała się uczesać.

— Na którą szanowna pani zamówiona?

— Zamówiona? Taż ja wcale nie zamówiona. Przyszłam i jestem.

Lekki szmer tłumionego śmiechu przeszedł przez salon.

— A to proszę pani dobrodziejki nic z tego nie będzie.

— Fe, nie mów pan takich rzeczy. Ot przeciwny człowiek z pana. Dlaczego ma nie być. Taż przecie tu fryzjerna.

— Tak, proszę pani — objaśnił mistrz Józef, nie przestając ondulować swojej klientki. — Ale każda z pań ma swoją godzinę.

— Ja się stąd nie ruszę. Muszę być uczesana. Toż ja przyjechała na ślub Tereni.

Widocznie Terenia jest wyrazem bardzo komicznym, bo wszystkie czekające panie, wybuchnęły śmiechem.

A, jeżeli koniecznie, to mam wolną godzinę dziś o drugiej w nocy — rzekł poważnie pan Józef. Albo jutro rano pofatyguję się pani do mnie przed szóstą.

— Ot i wymyślił pan porę. Gdzież mnie przychodzić przed szóstą.

— Nic nie poradzimy. Jeżeli szanowna pani się nie zdecyduje, to za kwadrans i te godziny będą zajęte.

— Ot w tej Warszawie przyjdzie się z kurami wstawać, jeżeli chcesz być uczesana. A może w godzinie obiadowej?

— Ja nie jem obiadu.

— Tylko co?

— Tylko onduluję.

— Tak może podczas podwieczorku?

— Podczas podwieczorku także onduluję. Do późnej nocy onduluję. Od wczesnego ranka onduluję. Ciągłe onduluję. Trudno

proszę pani. Pięknych główek jest tysiące,
a dobrych fryzjerów kilku.

— Ładny kwiat. No to już przyjdę do
pana o czwartej rano. Tylko, żeby się o tem
u nas na wsi nie dowiedzieli.

KRÓTKO I WĘZŁOWATO.

*Rzecz dzieje się w arystokratycznej kuchni.
Marjanna z porogą mięsa dużą łyżką
w dużym garnku. Po chwili siada przy stole
i studjuje kurjer ilustrowany.*

MARJANNA (sybilizując)

— S, o, s, sos. S, o, s, sos.

(Wchodzi Marcin woźny)

MARCIN

— Dzień dobry. Czy pan w domu?

MARJANNA

— W domu. Ale musi pan Marcin pocze-
kać, bo zaraz będzie obiad.

MARCIN

— Ano, niby poczekam, bo i tak się dziś
zlatałem, jak ten foksterjer albo inny
kundel.

MARJANNA

— Niech pan siada i odsapnie.

MARCIN

— A co to panna Marjanna politykę wer-
tuje?

MARJANNA

— Gdzie, jaką politykę! U mnie to gront,
czy jajka nie podrozeli i po czemu pierwsza
zrazowa. To je moja polityka.

MARCIN

— To pocóż panna Marjanna gazetę
trzyma w ręku?

MARJANNA

— A bo, widzi pan Marcin, jak coś
o kuchni albo o potrawach, to już zaraz
chciałabym wiedzieć. Człowiek zawsze we-
dle swego fachu jest ciekawy.

MARCIN (*przeglądając gazetę*)

— A gdzież tu panna Marjanna ma o po-
trawach?

MARJANNA

— O tu, niech pan Marcin czyta. Takie
ogromne litery. S-o-s czyli sos.

MARCIN

— Co się pannie Marjannie przywidzia-
ło? Tu wyraźnie stoi: katastrofa morska.

MARJANNA

— Kogo innego niech pan buja. Tu wy-
raźnie stoi: sos. A sos to co niby? Nie po-
trawa?

MARCIN

— Jaki sos? Panna Marjanna nic nie ro-
zumie. Jak okręt na morzu tonie, to woła:
SOS!

MARJANNA

— Co pan Marcin myśli, że ja na głowę
z byka spadłam? Ktoś tonie i wrzeszczy
o sos! Niech pan sobie kpi z kogo jenszego!

MARCIN

— Panno Marjanno, przed wojną było
inaczej. Był sos szary do ozoru... był sos
chrzanowy do kielbasków... sos rakowy, sos
koperkowy... a dziś jest sos okrętowy.

MARJANNA

— Niech no pan Marcin da pokój! Go-

tuję dwadzieścia lat i o żadnym okrętowym sosie nie słyszałam.

MARCIN

— A właśnie o to chodzi. Widzi panna Marjanna, dziś wszystko musi być krótko i węzłowato, bo czas to je pieniądz. Na ten przykład, wpadnie ktoś do knajpy, żeby wypić, a płacić to niema czasu! ha ha ha ha!...

MARJANNA

— A juści... na załapanego.

MARCIN

— Dawniej mówiło się: Towarzystwo Rolnicze, a dziś się mówi krótko i węzłowato: to-rol.

MARJANNA

— E, co pan znowujż, panie Marcinie.

MARCIN

— Sprawiedliwie mówię. A niech mi panna Marjanna powie, co to jest ceter?

MARJANNA

— Co się pan pyta? Przecie wiem, że ceter, to pies naszego pana.

MARCIN

— A właśnie, że nie. Bo ceter to jest członek towarzystwa rolniczego, gdzie ja jestem woźnym.

MARJANNA

— Niechno pan Marcin przestanie pleść trzy po trzy. Jakże to pies może być członkiem?

MARCIN

— A niech mi panna Marjanna powie na ten przykład, co to jest komin?

MARJANNA

— Jabym nie wiedziała, co jest komin? Przecie co dzień stoję przed kominem.

MARCIN

— A właśnie, że nie. Bo komin to jest komunikacja ministerjalna i ja zaraz właśnie idę do torolu rozmówić się z pewnym ceterem w sprawie komina.

MARJANNA

— Panie Marcin, bo się pogniewam, a niedługo małżeństwo naszej panny i będzie wyżerka...

MARCIN

— Nie mówi się małżeństwo panny, tylko krótko: Mał-pa.

MARJANNA

— Pan śmie tak o naszej panience? To ja panu powiem w skróceniu: stary idjota.

MARCIN

— A ja pannie Marjannie powiem bez skrócenia: głupi tłomok...

MARJANNA

— Ty sam tłomok... fora z kuchni...

PAN (*wchodząc*)

— Co się tu dzieje?

MARJANNA

— Nic, tylko pan Marcin pewno się upił.

PAN

— Co takiego?

MARCIN

— Proszę pana dyrektora, trudno wymagać od parzygnata jenteligencji. Chciałem jej wytłomaczyć, co to jest sos...

MARJANNA

— Ty sam wsadź nos w sos... palec w smalec, a nogi w pierogi.

MARCIN

— Widzi pan dyrektor: gmin... i tyle. Nie zna się na naszej nowej gramatyce.

KSIEGARNIA ULICZNA.

BUJAK (krzyczy)

— Za jedno 50 groszy — każda książka do wyboru. Co w sklepie 5 złotych, u mnie 50 groszy. Kreminalne powieści Dumasego, Hrabia Monte Christo. Wiktora Hugona, Tolstojego. Dajmu Krzewińskiego. Kuba rozpruwacz Sienkiewicza. Pamiętniki kasy nowej. Za jedno 50 groszy.

STASIEK

— Co ty, Antek, już skarpetek nie sprzedajesz?

BUJAK

— Żaden interes. Ja tera w literaturze pracuję, wedle orderu. Dla oświaty narodu.

STASIEK

— A kaczki pływające?

BUJAK

— A idź-że, bo ci nie powiem. Gardło ze-drzesz, nim jedną kaczkę sprzedasz. (*Krzyczy*). Za jedno 50 groszy do wyboru romanse kreminalne. Ostatnie nowości kabaretowe, za jedno 50 groszy, co w sklepie 5 złotych, to u mnie tylko 50 groszy. Ja się boję sama spać! Bez koszulki! Weź mnie! za 50 groszy. Proszę obywatelki! Czy pani mieszka sama?

OBYWATEL

— Co to za zaczepianie uczciwych kobiet? Jak pan śmiesz proponować mojej żonie takie paskudztwo?

BUJAK

— O rany, jakie paskudztwa? Same szlagierowe przeboje, z literackiego bałaganu. Niech pan obywatel bierze! Ja się boję utyc tu i tam za jedno 50 groszy.

OBYWATEL

— Odczep się pan!

BUJAK

— To może obywatelka! Radzę kupić.

*Niebawła okazja. Co w sklepie 5 złotych—
u mnie tylko 50 groszy. „W pysk i za łeb“!
Najmodniejsza polka na gitarę z basem.*

OBYWATELKA

— Proszę mi dać tę polkę.

BUJAK

— Służę obywatelce. A może na dokładkę: On przecie nie ma nic!

OBYWATELKA

— Co to jest?

BUJAK

— To ostatni won w step.

OBYWATELKA

— Niech pan da.

BUJAK

— Proszę obywatelki Ramona, Dolares, Kataryna. Wszystkie trzy za jedno 50 groszy.

OBYWATELKA

— Może co innego?

BUJAK

— A ile mi dasz? za 50 groszy.

OBYWATELKA

— Biorę.

BUJAK

— Służę pani obywatelce.

OBYWATELKA

— Ale ta podarta. Daj pan inną.

BUJAK

— Co? podarta? Może ma być w złoto oprawna z literami? Daleko za panią zanieść? Czy Anna jest panna?

OBYWATELKA

— Ja nie jestem Anna. Proszę sobie wziąć z powrotem te nuty.

BUJAK

— Nie namawiaj mnie! za jedno 50 groszy.

STASIEK

— Antek, zamykaj sklep. Salceson idzie.

BUJAK

— A to choroba! Bierz koszyk i do bramy.

STASIEK

— Czekał, brachu! Skręcił na Wierbową.

BUJAK

— A bodaj go skreśliło! Cała klejentela się rozleciała. Proszę państwa za jedne 50 groszy, co w sklepie 5 złotych. Najnowsze kreminalne powieści. Puść go kantem! Dodaj mu gazu! za jedne 50 groszy.

PANIENKA

— Ja bym wzięła, ale tu brak ostatniej stronicy.

BUJAK (tajemniczo)

— Psst. Sprawa polityczna. Ostatnia stronica skonfiskowana przez cenzurę.

PANI I KUCHARKA.

Scena humorystyczna

MANIA

— Dzień dobry. Właśnie praczka Walentowa przysłała mnie; jestem panna Mania.

PANI

— Dzień dobry. A o co chodzi?

MANIA

— Ano że niby pani szuka pracowniczki do kuchni.

PANI

— A tak, tak... więc od kiedyż panna Mania zgodziłaby się?

MANIA

— Jeżeli gwałt, to ja mogę i zaraz.

PANI

— Więc panna Mania nie jest w obo-
wiązku?

MANIA

— A jestem niby u tej jenzenierowej na
Kruczej, ale wczoraj takeśmy się pocięły,
że już tam więcej nie pójde.

PANI

— Jakto, pocięły?

MANIA

— Ona mi parę słów powiedziała, ja jej
też wygarnęłam, bo nie lubię być dłużna,
a wszystko przez to, że ja jestem proszę pa-
ni bardzo *zasadnicza* i uważam, że człowiek
dla człowieka powinien być bratem.

PANI

— A to pięknie.

MANIA

— No nie, proszę pani? Ja już widzę, że
my się z panią polubimy.

PANI (z *ironją*)

— Doprawdy? A to się cieszę.

MANIA

— Tak, proszę pani, uczuciowa jestem.
Wszystko, co mam, to oddam. Kieckę zdejmę... i koszulę jak potrzeba dla bliźniego.
Pan Stefan, co *zamiaruje* względem mojej
ręki, mógłby najlepiej powiedzieć. A pani
jenzenierowa nie wie, że czasy przedwo-
jenne minęli i że w wolnej Polsce każdemu
wszystko wolno.

PANI

— O to prawda.

MANIA

— Proszę pani... pan Stefan nieraz siedzi
u mnie do późnej nocy, to i kolację mu po-
rządną wyrzuchuję i cygaro mu znajdę, bo
wiem, jak trzeba z bliźnim. A pani jenze-
nierowa, jak sobie raz na tydzień pożyczę
pończoch, albo kombinezy, to zara robi ta-
kie piekło, jakby jej rodzona ciotka umarła.
A cóż to proszę pani, człowiek je parszywy,
czy co? Tak samo na andulacje chodzę co
sobotę, jak i ona. To też wczoraj musiałam
jej psa wybrać, żeby jakoś przyszła do ro-
zumu.

PANI

— Nie wiem, czy pannie Mani będzie u mnie dobrze, bo ja wogóle jedwabnych pończoch nie noszę.

MANIA

— A cóż ta stara wrona Walentowa trałowowała, że tu je porządny dom?

PANI

— Widocznie tak jej się zdawało.

MANIA

— Ale niech ta... Pani mi się podoba, bo widzę, że je cicha i spokojna.

PANI

— Czy może być?

MANIA

— A co do *maronków*, to wiadomo. Rano kawa i rogaliki z masłem albo sucharki, o dwunastej drugie śniadanie, ale mięsne, bo od chleba się tyje, a ja muszę mieć *leńje*. O czwartej obiad, nie później, bo o piątej ja już wychodzę i wracam w nocy. Pensja sto złotych, płatna z góry, urlop jeden w le-

cie a drugi w zimie, bo, zdaje się, że po takiej charówce to trzeba odsapnąć?

PANI

— Ależ bez wątpienia. Ma panna Mania słuszność.

MANIA

— Mówiłam, że się zgodzimy, bo pani je jenteligentna, tylko jeszcze jedno. Ja lubię z góry wszystko, jak się należy, obgadać, żebyśmy sobie potem do oczu nie skakały. Telefon dodatkowy musi być w moim pokoju, bo jak pan Stefan do mnie dzwoni, to rzucam wszystko i lecę, żeby nie czekał. A radjo, proszę pani, to pewno je?

PANI

— Jest naturalnie.

MANIA

— No, to dobrze, tylko żeby jakie porządne, pięciolampowe, na zagranicę. Te kryształki, to do chrzanu. A tych warszawskich koncertów, to ja nie lubię.

PANI

— Tak, ma panna Mania słuszność.

MANIA

— Co do prezentów na gwiazdkę i na imieniny, to uprzedzam, że tandety nie przyjmuję. Żadnej bawełny, ani flaneli nie wezmę, bo to byłby wstyd dla domu. Tylko jak się patrzy krep-de-szynu, albo coś z futra, ale z pierwszorzędnego magazynu. A teraz to już pani może mi dać zadatek.

PANI

— Bardzo się cieszę, że panna Mania chce u mnie zostać, ale muszę nadmienić, że ja także jestem *zasadnicza*. Kucharka musi wstawać o siódmej. Telefony są tylko dla mnie. Żadnych drabów w kuchni nie znoszę. Płacę pięćdziesiąt złotych, ale tylko porządny dziewczynom. A z Walentową się rozprawię, że ośmieliła się przysłać mi taką idjotkę. A teraz, proszę się wynosić. Janie, wyprowadź tę osobę.

MANIA

— Co się zrobiło? Osobę? Takich wymysłów jeszcze nigdzie nie słyszałam.

JAN

— Proszę już nie gadać, tylko iść

MANIA

— Patrzcie go, fagas burżujski. Za tę osobę to mi pani odpowi przed sądem.

W LUNA - PARKU.

Scena humorystyczna.

DAMA

— Patrz, patrz, jak tu ładnie... jak ślicznie!

PAN

— E, to jeszcze nic, chodźmy dalej.
(*trąbki*).

PANI

— A co to, zobaczmy!

IMPRESARJO

— Wielkie, niebywałe psie przedstawienie (*szczekanie psów*). — Grają najtrudniejsze role bez suflera... niezwykle atrakcje... ostatnie występy przed wyjazdem do Ameryki... Bilet tylko dwa złote.

PAN

— Widzisz, jak to sztuka teatralna na psy zeszła.

(*muzyka*)

PANI

— Chodźmy tam... patrz... patrz!

IMPRESARJO

— Zamek czarów i cudów światowych. Znikające przedmioty, pierwszy raz w Warszawie... straszny labirynt o stu wejściach bez wyjścia. Czarodziejskie wesołe szklą... kto spojrzy w lustro, widzi swoją teściową. Tylko jeden złoty.

PANI

— Możebyśmy weszli.

PAN

— A jakże! Będę płacił złotego, żeby tę starą wiedźmę zobaczyć!

(*muzyka*)

PANI

— No to chodźmy tam... patrz, jak się kręci.

IMPRESARJO

— Szampańska karuzela... tylko 50 groszy... nieszkodliwe zawracanie głowy bez skutku... jazda na skrzydlatych rumakach albo w gondoli...

SPACEROWICZ

— Panie! nie pchaj się pan tak!

ANTEK

— Kto się pcha? Co pana boli?

PANI (*śpiesznie odciąga pana*).

— Wsiadajmy, dobrze? Ja na koniu.

PAN

— Ależ duszko, to nie wypada.

PANI

— A tamta pani wsiadła...

PAN

— E, co to za pani!

IMPRESARJO

— Proszę państwa... ruszamy! trzeci dzwonek!

(*słuchać dzwonek i muzykę*).

ANTEK

— Janek! dosiadłbyś takiego ogiera?

JANEK

— Albo ja warjat? Chodźmy lepiej do małpów.

ANTEK

— Czekać! Małpy nie uciekną, a mnie się ta facetka na koniu podoba. Może ją zaprosić na poczęstunek?

JANEK

— Nie widzisz, że jest z frajerem, co siedzi w gondoli? Hrabia jesteś, szukasz awantury?

IMPRESARJO

— Młyn djabelski... miele i miele... raz na górze, raz na dole... kto siedzi na górze, zjeżdża na dół, a kto jest na dole, jedzie do góry. Na dole widzi lasy i doliny, a z góry Karpaty, Zakopane i letnie mieszkania.

PANI

— Siadajmy, siadajmy! Ja chcę widzieć Karpaty.

PAN

— Duszko! Ja jeszcze nie odpocząłem po karuzeli.

PANI

— Poco odpoczywać?

PAN

— Chodźmy lepiej zobaczyć słonia.

PANI

— Słonia?... Wolę małpy.

PAN

— Wszyscy lecą na małpy... chodźmy.
Co ludzi! Małpy mają powodzenie.

PANI

— Patrz, jak ona się patrzy... zupełnie
człowiek. Niechże pani tak nie zasłania.

JEJMOŚĆ

— A cóżto? Czy ja nie zapłaciłam 50
groszy?

PANI

— To możeby pani chciała już do klatki
wejść za te 50 groszy?

JEJMOŚĆ

— Ustępuję pani miejsca. Ja z małpami
się nie przyjaźnię.

PANI

— Z małpami? Patrzcie ją, małpa jedna.
Mężu, słyszałeś?

PAN

— Nie mówiłem, że lepiej iść do słonia!

JEJMOŚĆ

— Znalazło się państwo!

PANI

— Oj, oj! Gdzie moja torebka... zgubi-
łam torebkę!...

PAN

— Pewno ci kto wyciągnął.

PANI

— Może w tym czarodziejskim zamku?
Wołali: — „znikające przedmioty“. Chodź-
my do posterunkowego.

PAN

— Dużo ci z tego przyjdzie. Mówiłem, do
małp nie chodzić, tylko do słonia.

KUPUJ WYROBY KRAJOWE.

KLIJENT

— Przeczytaliśmy na szyldzie: kupuj tylko wyroby krajowe. Więc wchodzimy. Przedewszystkiem odbudowa kraju!

KRAWIEC

— Służę państwu. Może szanowna pani dobrodziejka spocznie. Zaraz pokażę. Proszę, niech państwo obejrzą.

KLIJENT

— Siadaj Klociu.

ŻONA KLIJENTA

— Dobrze Musiuniu.

KRAWIEC

— Wspaniałe materiały, nieustępujące zagranicznym. Trwałe, nie do zdarcia. Co mam robić? Garnitur marynarkowy, czy smoking, a może paletko.

ŻONA KLIJENTA

— Niechno pan pokaże te materiały.

KRAWIEC

— Służę pani dobrodziejce. Łódzkie, bielskie, tomaszowskie. Mocne bajecznie. Małżonek pani będzie chodził, jak w skórze. Żadna plamka nie chwyci, ani kurz, ani pył. Pan dobrodziej wyleci z auta, spadnie z aeroplanu, wpadnie pod pociąg. Ręczę, że nawet w plecach nie pęknie.

ŻONA KLIJENTA

— Musiuniu, zamów sobie garnitur marynarkowy z tego materiału.

KLIJENT

— Panie, z tego materiału.

KRAWIEC

— Śliczny materiał tomaszowski. Stefek, dawaj centymetr. Może pani dobrodziejka przejrzy żurnale. Może i pan dobrodziej zobaczy.

KLIJENT

— Nie, niech już żona wybierze. Wybierz Klociu.

ŻONA KLIJENTA

— Zaraz, zaraz Musiuniu. A to co za materiał? Tego nam pan nie pokazywał.

KRAWIEC

— A bo to, proszę pani, prawdziwy angielski.

ŻONA KLIJENTA

— Więc pan ma i angielskie?

KRAWIEC

— To specjalnie sprowadzone dla hrabiego Gustawa.

ŻONA KLIJENTA

— Śliczny materiał. Patrz Musiuniu.

KRAWIEC

— O, proszę pani. To jest materiał bez konkurencji. Trudno. Ich fabryki pracują kilkaset lat, a nasze dopiero dziesięć.

KLIJENT

— I drogi to materiał?

KRAWIEC

— Właściwie, to tańszy od naszego.

ŻONA KLIJENTA

— Tańszy, jakim sposobem?

KRAWIEC

— Za ten garnitur angielski zapłaci pani siedemset pięćdziesiąt złotych, a za nasz krajowy trzysta.

KLIJENT

— Więc cóż pan mówi, że tańszy.

KRAWIEC

— Bo widzi pani, w tym naszym krajowym będzie pan chodził miesiąc i już panu łokcie powyłożą. Oprze się pan o stół albo o biurko, już plama na plamie. Kolana pan wypchnie do dwóch tygodni. A tego angielskiego niczem pan nie dobije. Może pan siadać na atramencie i plamka nie chwyci. Może pan w nim spać, nie pogniecie się. Dlatego mówię, że tańszy.

ŻONA KLIJENTA

— Musiuniu, każ sobie zrobić z tego angielskiego.

KLIJENT

— Jak uważasz Klociu.

ŻONA KLIJENTA

— Cóż to, hrabia ma być lepszy od ciebie?

KRAWIEC

— Ma pani dobrodziejka słuszość. Tytuły już zniesione. Ja odrazu sobie pomyślałem, że pan tylko w zagranicznym towarze może się godnie prezentować. Państwo pozwoli do tego pokoju. Panie Celestynie, weźmie pan miarę szanownemu panu. Robimy marynarkowy z tego angielskiego materiału, proszę bardzo.

ŻONA KLIJENTA

— Chodź Musiuniu. Ja muszę być przy tem. Przynajmniej raz będziesz porządnie wyglądał.

KRAWIEC

— Szanowna pani ma rację. Co anglik, to anglik.

STASIEK

— O la Boga, zdechnę ze śmichu.

KRAWIEC

— Czego się śmiesz, bałwanie?

STASIEK

— Bo to przecie nie żaden jangielski ma-

terjał, tylko nasz krajowy. A pan prencypał mu podał za jangielski.

KRAWIEC

— A cóż ty myślisz, durniu jeden. Że ja będę anglikom kieszenie wypychał. A ten klient za karę, że nie szanuje naszych towarów, zapłaci podwójnie. Niech proteguje wyroby krajowe.



OSOBY
WYMIENIONE W ANEGDOTACH:

Aszpergerowa	Lindeman
Bakałowicz	Marecki
Bielska Józefina	Meyerbeer
Cieślewski	Messal
Ejsmond	Mierzejewski
Fertner	Majeranowska
Fałat	Marczello
Fitelberg	Noskowski
Halpertowa	Niekrasow
Hofmanowa	Paganini
Hofman Kazimierz	Prażmowski
Horbowska	Przybylko-Potocka
Jasiński	Panczykowski
Kamiński	Rapacki
Kotarbiński	Rakiewiczowa
Kiepora	Redo
Królikowski	Szymborski
Krzewiński	Solski
Kostrzewski	Szutkiewicz
Kossak	Tatarkiewicz
Kudlicz	Trapszo Marcelli
Kaszman	Trapszo Aleksandra
Komorowska	Trapszo Tekla
Leszczyński	Wolski
Leszczyńska	Wołowski
Leszczyńska Antonina	Węgrzyn
Lenczewski	Zamojski
Leszczyński Jerzy	Żółkowski
Lasocki	

